PROF. FELIKS KONECZNY

ŚWIĘCI W DZIEJACH NARODU POLSKIEGO

TOM IV

MIEJSCE PIASTOWE — 1939
NAKŁADEM TOWARZYSTWA ŚWIĘTEGO MICHAŁA ARCHANIOŁA

ności i pobożności. Tak marząc o przyszłości dokonał życia święty patriarcha naszego grona świętych w r. 1470, a w 90 życia swego. Ciało jego „podniesiono“ w r. 1633 za zezwoleniem papieża Urbana VIII i umieszczono ostatecznie w kaplicy wzniesionej obok ołtarza Najśw. Panny Łaskawej w krakowskim kościele św. Katarzyny.

Starszym przodownikiem pozostałych przy życiu pięciu świętych krakowskich stawał się św. Jan Kanty, niestety tylko na lat trzy. A były to lata obfite w wydarzenia.

Kiedy w r. 1471 zmarł Podiebradzki, trzeba było królewicza Władysława wyprawić zaraz do Czech. Maciej Korwin pustoszył cały Śląsk, zamieniając bogaty kraj, jak wyrażali się współcześni, w pustynię. Trzeba się było szybko decydować, póki Maciej nie zagarnie tronu. Odprowadził tedy 15-letniego królewicza do Pragi z orszakiem zbrojnym Paweł Jasieński, znany nam z bitwy pod Puckiem w wojnie trzynastoletniej.

Niespodzianie miał też równocześnie i królewicz Kazimierz wyruszyć z Krakowa, lecz w inną stronę, na Węgry, żeby tam Korwina pozbawić korony węgierskiej, a przydać ją do państw Jagiellońskich. A ten królewicz miał jeszcze dwa lata szkoły przed sobą, bo liczył dopiero lat 13!

Sposobność zdawała się dobra. Wypowiedzieli bowiem posłuszeństwo Maciejowi sam prymas węgierski, trzech biskupów i grono największych świeckich wielmożów. Prymas oddawał swe liczne zamki w ręce wojska, które by przybyło na Węgry w imieniu królewicza Kazimierza. Przyrzeczono mu przeprowadzić jego wybór na króla węgierskiego. Uda się czy nie? W każdym razie taka wyprawa zbrojna na Węgry przeszkodzi Korwinowi, że nie będzie mógł użyć całych swych sił przeciw Wła-

dysławowi w krajach korony czeskiej; zmusi go się, żeby wojska swoje przynajmniej rozdzielił, skoro będzie musiał bronić się na Węgrzech. Kazano więc trzynastoletniemu pacholęciu podpisać się pod listem wypowiednim tj. pod pismem urzędowym z wypowiedzeniem wojny Maciejowi Korwinowi.

Z tego nie wynikało bynajmniej, żeby królewicz Kazimierz miał jechać zaraz na Węgry. Co innego Władysław; ten był już wybrany na króla, jechał na koronację i obejmować panowanie. Ale na Kazimierza przyszłaby kolej dopiero wówczas, kiedyby Maciej Korwin był w wojnie pokonany, ażby stracił koronę; wtedy dopiero miałby drugi królewicz polski jechać na koronację.

Rozsądek radził, żeby Kazimierza nie brać na wyprawę, bo tylko będzie kłopot z jego osobą, a korzyść z niego jeszcze żadna; będzie tedy zawadzać niepotrzebnie. A jednak stało się przeciw rozsądkowi: królewicz wyruszył od razu z wojskiem. Trudno podejrzewać o brak rozsądku króla ojca, królowę matkę, wychowawcę Długosza, lub Piotra Dunina, znanego nam z dowództwa w bitwie pod Puckiem, a któremu powierzono dowództwo węgierskiej wyprawy. Pomysł wyszedł widocznie nie od nich, starszych i doświadczonych, lecz od pacholęcia królewskiego, tak młodziutkiego, iż nikt jeszcze nie mógł rozsądku od niego wymagać. Po prostu napierał się, i starsi mu w końcu ulegli.

Królewicz wyrywał się z domu, bo sam marzył o tej koronie.

Nie chodziło mu o osobiste wyniesienie. Był przecież następcą tronu w Polsce i na Litwie. Nie potrzebował szukać sobie korony po świecie! Marzenia jego miały pod sobą fundament religijny. Działał na jego uczucia przykład stryja Warneńczyka. Marzył więc, że gdy na tronie

węgierskim dorośnie, pójdzie w ślady stryjowskie, a może z pomocą Bożą będzie szczęśliwszy. Marzył, że po niedługim czasie razem z ojcem i bratem urządzą wielką wyprawę krzyżową połączonymi siłami Polski, Litwy, Węgier i Czech. O tym myślał ciągle. Wiemy, że ojciec myślał tak samo i zapewne nieraz sam myśli synów swoich kierował w stronę Carogrodu. W zapale syna widział siebie samego odmłodzonego. Jakżeż miał się opierać, gdy mu syn powtarzać zaczął: Ojcze, sam mówiłeś, sam chciałeś, a teraz mię nie puszczasz?

Rycerski animusz i gorliwość chrześcijanina łączyły się w umyśle królewicza w żądzę, żeby jak najprędzej być tam, na Węgrzech, żeby od samego początku własną osobą uczestniczyć w tym wszystkim, co go zbliży do upragnionej krucjaty. Do jakiego stopnia cały był pochłonięty tą jedną myślą, świadczy taki fakt: Na ojcowskim królewskim dworze bawił uczony włoski Filip Kallimach, zamiłowany w historii. Zapewne zbliżało to Kallimacha z Długoszem, a skutkiem tego i królewicze mogli częściej widywać i poznać bliżej włoskiego gościa. Otóż królewicz Kazimierz poprosił Kallimacha, żeby napisał historię wyprawy warneńskiej. To mu było nade wszystko, to go zajmowało najbardziej. Włoski pisarz spełnił tę prośbę i w przedmowie do swej pracy wychwala królewicza, jako wzór książąt. Rwał się młody Kazimierz do walki pod znakiem Krzyża! Obecna wyprawa po węgierską koronę, to tylko wstęp do wielkiego dzieła. A skoro wyprawa węgierska odbywać się ma pod jego imieniem, czemuż to on właśnie miałby być wykluczony od uczestnictwa w niej?

I ustąpił król-ojciec i w końcu pozwolił, a z pewnością ku zmartwieniu Dunina. Królewicz zaś cieszył się wówczas widocznie doskonałym zdrowiem, skoro uważano,

że może podjąć trudy wyprawy wojennej. Powierzono go tedy opiece Piotra Dunina. Ruszono w dwanaście tysięcy żołnierza drogą na Sącz pod miasto Koszyce. Było to z początku października w r. 1471, a pod koniec tego samego jeszcze miesiąca otrzymano posiłki, gdyż Jasieński, wracający już z Pragi, przyprowadził swój hufiec na Węgry i razem z Duninem szli dalej. Pochód odbywał się doliną rzeki Sajo, przez te miejsca, gdzie w r. 1242 Węgrzy doznali klęski od Mongołów i gdzie zginął królewicz Koloman (mąż św. Salomei) i następnie na nizinę węgierską ku stolicy Budzyniowi. Nie spotykano nigdzie żadnego oporu, ale też żadnej nie doznawano od nikogo pomocy. W pobliżu Budzynia stało wojsko Macieja, lecz bitwy nie stoczono. Siły były mniej więcej równe, ryzykować nie chciała żadna strona. Wtem od prymasa węgierskiego nadchodzi wezwanie, żeby wojsko polskie pozajmowało jego grody i zamki. Nie odrzucono oczywiście sposobności, żeby zająć znaczniejszą część kraju, bo ze wszystkiego najlepsze jest, żeby posiąść i osiąść; zwrócono się więc ku północy, a główna część sił polskich rozłożyła się pod grodem Nitrą, mając królewicza w swym obozie.

Przypomnijmy sobie, co to napisał Długosz o Śląsku, gdy opisywał w swym wielkim dziele historycznym pokój toruński z r. 1466. Plądrowały tam ciągle oddziały Macieja Korwina. A gdyby powiodło się pobić je, gdyby polskie hufce Śląsk uwolniły, czy nie dałoby się odzyskanego Śląska przyłączyć na nowo do państwa polskiego? Przy marzeniach młodego ucznia snuł swe marzenia także stary Długosz.

Już zajęto część górnych Węgier. Ale w Nitrze trzeba było przygotować się na oblężenie może długie. Zawiedli zaś ci wszyscy, którzy niedawno temu obiecywali królewiczowi koronę węgierską. Żadnych posiłków w Nitrze

się nie doczekano, ani też nie urządzono zbrojnego powstania przeciw Maciejowi. Wynik oblężenia Nitry przedstawiał się wobec tego bardzo niepewnie. Czyż Dunin miał ryzykować, że w danym razie królewicz dostanie się do niewoli największego wroga? Był za Kazimierza odpowiedzialnym, był obowiązanym dostawić go zdrowo z powrotem. Porzucił więc Nitrę, żeby odprowadzić królewicza do Krakowa. Trzeba było mieć na tę drogę orszak zbrojny, a więc zmniejszyć załogę w Nitrze. Okazało się tedy, że obecność królewskiego syna wodzowi naprawdę zawadzała.

W Nitrze został sam Jasieński i trzymał się, jak się dało. Ale nie mając już nadziei żadnej pomocy, musiał się wycofać z przedsięwzięcia i rozpocząć odwrót. Wracał przygnębiony drogą na doliny Wagu i Orawy przez Jabłonków, na Maków w stronę Krakowa.

Królewicz wrócił nieco wcześniej, w marcu 1472. Ileż nazbierał gorzkich wspomnień z tej wyprawy! jak szybko rozwiały się marzenia! Wracał na naukę do Długosza; wszakżeż liczył dopiero 14 lat życia.

Otwarcie nowego roku szkolnego młodych Jagiellończyków odbyło się tym razem aktem bardzo ciekawym, bo cała rodzina królewska, oboje rodzice i wszystkie ich dzieci wpisywali się do bractwa częstochowskiego. Królewicz Kazimierz mający zawsze szczególne nabożeństwo do Najśw. Marii Panny, ucieszył się tym wielce. Spisano z tej okazji w klasztorze Paulinów na Skałce krakowskiej formalny dyplom, który uroczyście królowi doręczono.

W tych czasach sława i powaga klasztoru Jasnogórskiego były już utwierdzone. Zakonnicy utworzyli pośród świeckich czcicieli cudownego obrazu konfraternię, czyli bractwo. Dziś bractwa w upadku, złożone są zazwyczaj z biedoty mniej światłej, lecz niegdyś królowie wpisywali

się do bractw. Toteż jako rzecz dla dzisiejszych współczesnych arcydziwną, „nieprawdopodobną a jednak prawdziwą“, przepisuje się tu w dosłownym tłumaczeniu z łaciny dokument przyjęcia do bractwa częstochowskiego całej a całej licznej rodziny króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka:

„Najjaśniejszemu Książęciu i Panu, Kazimierzowi z łaski Bożej królowi Polski, Wielkiemu Księciu Litwy, Rusi, Prus, Panu i Dziedzicowi; Najjaśniejszemu Książęciu i Panu Władysławowi, z tejże łaski królowi Czech, margrabiemu Moraw, Luksemburga, Księciu Śląska i Litwy; Najjaśniejszej Pani Elżbiecie, z Bożej łaski królowej Polski i księżnej Austrii, tegoż Pana Kazimierza króla małżonce — i zarazem Ich Wysokościom Książętom Panom Kazimierzowi, Olbrachtowi, Aleksandrowi, Zygmuntowi i Fryderykowi, tychże Państwa króla i królowej synom — a także Jadwidze, Zofii i Elżbiecie córkom —

„Brat Jakub, zakonu Pustelników św. Pawła pierwszego pustelnika, żyjących według reguły św. Augustyna biskupa i znakomitego doktora Kościoła, prowincjał braci profesów w królestwie polskim i w śląskich krainach, a przeor klasztoru świętego Stanisława na Skałce w Kazimierzu — pozdrowienie niesie od Zbawcy wszystkich.

„Pobożność Waszych Wysokości chwalebną i zbożny ku niebu afekt ze czci Boga Wszechmogącego i świętego Pawła pierwszego pustelnika i ojca naszego przesławnego, i zasługi Wasze pełne chwały względem nas i naszego świętego zakonu wdzięcznie przyjmując i tusząc nie bez przyczyny, że i Chrystus je przyjmie a chcąc odpłacić się Wam w sposób zbawienny,

„Ekscelencje Wasze i każdego z Waszych rodzin do bractwa naszego zakonu przyjmujemy i w czas życia i również w chwili śmierci, zapewniając pewne uczestni-

ctwo wszystkich mszy świętych, modłów, nabożeństw i obrzędów religijnych, wigilii, postów, powściągliwości i pracy i wszelakich dobrych uczynków, jakie łaska naszego Zbawiciela sprawić łaskawie zezwoli przez naszych braci wszystkich ogólnie i pojedynczo, teraźniejszych i przyszłych, gdziekolwiek ustanowionych — i to mocą pisma niniejszego Waszym Ekscelencjom wdzięcznie nadając, o ile łaska Boska potwierdzi i pełna zasług pobożność Waszych Ekscelencji rozwija się, żebyście mogli przez te i inne zbożne uczynki wysłużyć sobie łaski doczesne i chwałę wiekuistą w przyszłości z pomocą Pańską.

„Dan w Krakowie 12 sierpnia roku Pańskiego 1472".

Wpisani do bractwa królewicze wyjechali do pobliskich Dobczyc. Nauka miała się bowiem odbywać dalej już nie w izbach na Wawelu, ani nie w domu Długosza przy ulicy Kanoniczej u stóp Wawelu, lecz na zamku dobczyckim, który król wyznaczył synom na szkołę.

Przykry był ten rok szkolny dla Długosza, stracił bowiem dawnego przyjaciela w uniwersytecie krakowskim. Św. Jan Kanty rozstał się z tym światem w r. 1473, dożywszy lat 76. Na pogrzeb przyjechał oczywiście Długosz z niedalekich Dobczyc i wziął z sobą królewiczów. Nie był to bowiem pogrzeb zwykłego tylko profesora, ale męża znakomitego także świątobliwością i wsławionego czterokrotną pielgrzymką do Rzymu. Beatyfikowany został św. Jan Kanty jednak aż dopiero w r. 1690 przez papieża Innocentego XI, a kanonizowany w r. 1767 za papieża Klemensa VIII.

Kładło się do grobu pokolenie starsze. Zaczynali się starzeć i ci, którzy niegdyś słuchali na rynku krakowskim kazań „kapistrańskich". Ale wątek świętości w Krakowie nie przerywał się. Wyrastał na dziewiątego w świętym gronie królewicz Kazimierz, który podczas pogrzebu św.

Jana Kantego kończył 15-ty rok życia. Wschodziła nowa gwiazda i to w samejże dynastii! Obok mieszczan stawał w blasku świętości królewicz.

Żył dalej w Krakowie bł. Szymon z Lipnicy, którego lata późne życia były właśnie najruchliwsze, bo go zakon wysyłał na kapituły generalne do Włoch. Ciche natomiast życie, jednostajne, wiedli św. Stanisław Kazimierczyk przy kościele Bożego Ciała, bł. Michał Gedroyć przy kościele św. Marka i Świętosław, który całe życie nie ruszał się nigdy od kościoła Mariackiego.

Tymczasem w r. 1474 spadły na państwo dwa ciężkie doświadczenia, dwie zapory w wymarzonym pochodzie od morza do morza. Wznowiła się wojna z Maciejem, który trzymał ciągle wojska swe na Morawach i na Śląsku. Rosło serce Długoszowi, gdy się wreszcie doczekał tam starć wojennych. Uważano też w Polsce wojnę o Śląsk za narodową i uchwalono pospolite ruszenie. Odniesiono zwycięstwo pod Swantowicami, lecz nie zdało się ono na nic, albowiem zdrada Krzyżaków wytrącała broń z rąk Polsce. Wielki Mistrz krzyżacki wypowiadał lenną powinność, a poddał się królowi węgierskiemu Maciejowi Korwinowi i sam też wszczął od razu wojnę z Polską, wspierając w taki sposób Macieja od północy. Wzięli Polskę we dwa ognie. Trzeba było szybko zawierać pokój z Maciejem, żeby nie narażać Pomorza gdańskiego, niedawno dopiero odzyskanego. W tym samym roku trzeba było bronić Lwowa. Jakżeż nastarczyć?

Równocześnie bowiem inne a ciężkie kłopoty spadały na nas na wschodzie. Dawno już nie było słychać o Tatarach. Kipczak rozpadł się na kilka ord, z których żadna Polsce ni Litwie nie mogła być groźną. Ustały napady tatarskie z innej jeszcze przyczyny. Tatarzy zaczęli się cywilizować, prowadzili życie osiadłe, zajmowali się rol-

nictwem i handlem, a postęp czerpali w znacznej części z Polski. Lecz poprawa takich stosunków skończyła się po zdobyciu Konstantynopola przez Turków. Tatarzy przyjąwszy islam, uznawali w sułtanie tureckim swego kalifa, tj. najwyższego zwierzchnika religijnego i przeszli całkiem pod wpływ Turcji. Sułtanowie, prowadząc wielkie wojny, żeby islam szerzyć mieczem, używali zagonów tatarskich do swych celów wojennych i politycznych. Widząc przed sobą obfitość łupów, porzucili Tatarzy wszelkie zarobkowanie pokojowe i zabrali się na nowo do najazdów łupieżczych, znajdując ochronę w opiece sułtańskiej. Zająwszy na swe koczowiska stepy południowo-wschodnie, przerwali nam drogę do morza Czarnego, odgrodzili od tego morza, a co gorzej, rozpoczęli stamtąd szereg najazdów na ziemie ruskie. Kiedy w roku 1474 zaczepili o sam Lwów, natenczas bł. Jan z Dukli urządził uroczystą procesję po wałach miejskich i tyle dodał otuchy mieszczaństwu, iż nie tylko do miasta łupieżców nie puszczono, ale i z przedmieść ich wypędzono. Nazywano odtąd tego świętego męża „gromem na bisurmanów".

Tak więc nie powiodło się królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi posunąć sprawy ni nad Bałtykiem, ni nad Czarnym morzem.

Święty królewicz tymczasem ukończywszy lat 15, przebywał od r. 1475 ciągle przy ojcu, sposobiąc się do rządów, jako następca tronu. Nie tylko nigdy nie stronił od spraw państwowych, lecz zajmował się nimi z największą gorliwością, jak przystało na tego, który powołany jest do rządów. Nie na samych modlitwach czas trawił, ani nawet nie miał czasu na długie modły. Jaśniał cnotami najwyższymi, a te mieszczą się według katolickiego katechizmu w doskonaleniu się do spełniania obowiązków swego stanu. Do obowiązków królewskich

był pełen zapału i to stanowi najwyższą jego chwałę, bo nie mnichem był, ale królewiczem. Bywał więc na uroczystych audiencjach obcych poselstw i pojechał w r. 1476 z ojcem do Malborga na zjazd z Wielkim Mistrzem krzyżackim. A w r. 1478, kiedy bł. Szymon z Lipnicy puścił się śladem św. Jana Kantego na pielgrzymkę do Ziemi Świętej, królewicz Kazimierz nie mniej od tamtego pobożny, towarzyszył ojcu na sejm do Piotrkowa. Różnymi drogami według możności i obowiązków swego zawodu, byle zawsze mierzyć to życie stosunkiem człowieka do porządku nadprzyrodzonego!

Pozwolił sobie na pielgrzymkę do Jerozolimy także Długosz, wypełniwszy jak najdokładniej obowiązki kanonika katedry krakowskiej, wychowawcy królewiczów i historyka swego narodu. Uznając jego wielkie zasługi, przedstawił go król papieżowi na arcybiskupstwo lwowskie. Byłoby się dalsze życie Długosza sprzęgło z życiem bł. Jana z Dukli, zamieszkałego we Lwowie, lecz inna była wola Boża. Długosz do Lwowa nie przyjechał wcale, dognany przez śmierć w Krakowie w r. 1480.

Nie mógł królewicz Kazimierz odprowadzić mistrza swej pierwszej młodości do grobu na Skałce w Krakowie, gdyż w roku poprzednim przeniósł się wraz z ojcem na Litwę i bawił tam do lata 1481 roku. Król pozostał w Wilnie jeszcze dłużej, królewicz zaś wraca w połowie roku 1481 do Polski właściwej, czyli (jak się mówiło) do Korony i to jako współrządca z władzą namiestniczą. Liczył już lat 23. Przeżył już o trzy lata swego stryja, którego pamięć ubóstwiał. Uczył się dalej sztuki rządzenia, ażeby państwo jego było jak najsilniejsze do przyszłej rozprawy z półksiężycem. O rządach zaś jego w Polsce napisano: „Był bardzo mądrym i obyczajnym, a równo dwa lata panował od czasu, jak go król i pan

nasz dopuścił do władzy, a całe państwo i wszyscy ludzie głosili jego pochwałę". A wojewoda malborski, Mikołaj Bażeński, głowa obywatelstwa pomorskiego, tak pisał o św. Kazimierzu: „Ten królewicz Kazimierz, nasz przyszły pan i dziedzic, to szczególnie dla nas łaskawy i przychylny książę, w którym pokładamy nadzieję, że te ziemie znowu dojdą do swego dobrobytu".

Wkrótce po objęciu rządów w Koronie, kiedy bawił w Radomiu, otrzymał wiadomość o zgonie krakowskiego Bernardyna, bł. Szymona z Lipnicy. Grób jego obwieszono wkrótce wotami. Jeszcze za życia uważany był za cudotwórcę. Cudowną moc leczniczą w chorobach oczu przypisywano też wodzie ze studni, którą kazał wykopać przed klasztorem na ulicy, która przeto była dostępna wszystkim. Ozdobiono tę studnię później drewnianym jego posągiem. Nie od rzeczy może będzie zapisać tu jeden szczegół: Za mojej młodości miał Kraków wodę strasznie niedobrą. Dobra studnia należała do rzadkości. Dwie studnie atoli sławne były z dobrej wody, z najlepszej w Krakowie. Jedna „u świętego Jana Kantego" na dziedzińcu gmachu biblioteki Jagiellońskiej, a druga „u Bernardynów", albo „pod św. Szymonem" zwana. Ze wszystkich końców Krakowa posyłano tam służące, gdy bardziej zależało na dobrej wodzie.

Lecz wracajmy do naszego królewicza. Po dwu latach wracał znów na Litwę. Litwini sami się o niego upominali, a zresztą cóż naturalniejszego i słuszniejszego, jak to, żeby następca tronu zaprawiał się także do rządów Wielkiego Księstwa litewskiego?

Ale przyjeżdżając latem 1483 r. do Wilna, czuł się niezdrów. Zapadł na chorobę piersiową, która szybkie czyniła postępy. A rok następny 1484, zaznaczył się smutnie

dwoma zgonami; we Lwowie bł. Jana z Dukli, a św. Kazimierza królewicza w Grodnie na Litwie.

Przy grobie Duklanina działy się liczne cudy. Odzyskiwali zdrowie nie tylko katolicy, lecz również Rusini i Ormianie, wtedy jeszcze schizmatycy. A zatem modlili się do niego także prawosławni; nawracał ich jeszcze po śmierci. Stolica Apostolska zaraz po zgonie bł. Jana z Dukli została zawiadomiona, że zmarł w opinii świętości. Dbał o to drugi mąż święty, bł. Ładysław z Gielniowa. Nie miał on bezpośredniej styczności ze Lwowem, pędząc życie między Warszawą a Krakowem, lecz mimo to zajął się tą sprawą gorliwie.

A święty królewicz, przewidując swój koniec, i nie mogąc dla zbytniego osłabienia nadążać pracom państwowym, i upraszany też usilnie, żeby nie żałował sobie wypoczynku, w ostatnich miesiącach życia oddał się wyłącznie przygotowaniu na śmierć. Pogrążył się w rozmyślaniach o rzeczach ostatecznych, akcję zaś miłosierną rozwinął tak rozległą, iż go w Wilnie nazwano „obrońcą ubogich".

Opromieniają świętych cudowne legendy, lecz temu świętemu legenda wyrządziła krzywdę. Kto go zna tylko z legendy, mniema o nim, że umiał tylko odmawiać modlitwy, chodząc od kościoła do kościoła, nawet po nocy. Zabawną jest legenda, gdy opowiada, jak królewicz klęczy na śniegu przed kościołem, bo kościół właśnie zamknięty! Dziwy nielada! Lubiał chadzać w sam raz do kościołów zamkniętych? A na zamku nie miał kościoła? A jeżeli zależało mu na pewnym kościele, że też kościelny nie pędził z kluczami, żeby mu otworzyć! I chodził królewicz po mieście nawet w nocy samiuteńki, bez jednego choćby służącego? Ale takie rzeczy głoszą legendy nie tylko o św. Kazimierzu królewiczu, lecz o licznych in-

nych świętych. (Te same legendy powtarzają się w rozmaitych krajach i w rozmaitych czasach). A tymczasem królewicz ten należy do świętych politycznych, do tych, którzy pragnęli przystępować do polityki religijnie, według wskazań moralności katolickiej. Powiedziano o świętym Kazimierzu słusznie, jako „osobistość ta nie tylko w żywotach świętych powinna być zapisana, ale także w księdze historii".

Tkwił w tym królewiczu, wielce bogobojnym, duch takich świętych Pańskich, jak święty Wojciech, Wincenty Kadłubek, św. Jacek. Należy on do szeregu politycznych świętych polskich. Są tacy święci, którzy w największym wirze świata, na najwybitniejszych stanowiskach i wśród nawały różnorodnych spraw świeckich starali się zaprowadzić sprawiedliwość chrześcijańską w praktyce i dbali o moralność w polityce. O zasadzie swych rządów sam napisał w pewnym piśmie do Wrocławian, że chce wybadać, czego wymaga sprawiedliwość, „którą nad wszystkie inne cnoty uprawiać winienem i pragnę".

A gdy święty Kazimierz umierał, dawał Turek właśnie znać o sobie na nowo. Tegoż roku 1484 zajęli Turcy ujścia Dunaju i Dniestru do morza Czarnego. Król Polski wyruszył w tamte strony, wyparł ich z Mołdawii i posuwał się zwycięsko ku wybrzeżom. Poruszył wtedy sułtan turecki Tatarów na Polskę. Pokonał ich wprawdzie królewicz Jan Olbracht w świetnym zwycięstwie pod Kopystrzynem w r. 1487, lecz najazd ten osłabił całą południowo-wschodnią połać państwa. Na dobitkę, hospodar wołoski zdradził i przerzucił się na stronę Turcji. Dalszy pochód był na razie niewykonalny i trzeba było odroczyć przeprowadzenie sprawy czarnomorskiej.

W rok zaledwie po św. Kazimierzu królewiczu i po bł. Janie z Dukli żegnał świat w r. 1485 zakrystian kościoła

św. Marka w Krakowie, bł. Michał Gedroyć, ów litewski książę. Miejsce na grób wybrał mu i pogrzebem kierował serdeczny księcia przyjaciel, dawny majster szewski bł. Świętosław.

Tymczasem zajęty czcią pośmiertną Duklanina bł. Ładysław z Gielniowa przebył rok 1486 w Krakowie, będąc powołany na gwardiana konwentu macierzystego w Krakowie na Stradomiu (pod Wawelem) i zaraz zajął się również czcią krakowskiego patrona bł. Szymona z Lipnicy. W następnym zaś roku postąpił na prowincjała i wtedy nadeszło właśnie pozwolenie od papieża Innocentego VIII, żeby „podnieść kości" bł. Jana z Dukli, czego też bł. Ładysław dokonał skwapliwie, przybywszy w tym celu umyślnie do Lwowa. Bernardyni krakowscy otrzymali zaś takie samo zezwolenie dopiero o rok później, chociaż bł. Szymon zmarł o rok wcześniej od bł. Jana. Stolica Apostolska otrzymała atoli wiadomości o lwowskim patronie wcześniej, wcześniej więc tę sprawę załatwiła. Bądź co bądź działo się to dziwnie szybko, niemal od razu po zgonie obu patronów. Ale też na tym tej gorliwości koniec. Zaginęła nawet tradycja aktu co do bł. Jana z Dukli i potem w r. 1522 prowincjał Komorowski ponownie dokonywał podniesienia kości.

O rok wcześniej (w r. 1521), zezwolił na publiczną cześć królewicza Kazimierza u nas papież Leon X; kanonizowanym jednak dla całego świata katolickiego został on dopiero w r. 1602 przez papieża Klemensa VIII.

Jeszcze bez porównania dłużej przeciągnęły się procesy beatyfikacyjne błogosławionych bernardyńskich. Szymon z Lipnicy uznany był błogosławionym aż w r. 1689 za papieża Innocentego XI; o beatyfikację zaś Jana z Dukli wystarano się dopiero w r. 1735 u papieża Klemensa XII.

Słusznie spotkał Bernardynów polskich zarzut, że

gorliwie przyczyniali się nie tylko do beatyfikacji, ale i kanonizacji świętych swego zakonu z prowincji innych narodów, ale o swoich, polskich, lubili zapominać.

Zarzut ten jednak tyczy się nie tylko Bernardynów! Bo do reszty zapomniano o trzech innych świątobliwych, których czciło się, jako błogosławionych i tak się ich nazywało i nazywa, ale o uznanie tej czci całkiem się w Rzymie nie wystarano! Wymierało dalej krakowskie grono świętych. W r. 1489, odszedł z tego świata bł. Stanisław Kazimierczyk. Z całego grona krakowskich świętych pozostawał przy życiu już tylko bł. Świętosław przy kościele Mariackim, ale i ten jeszcze tylko przez dwa lata. W r. 1491 zgasł Świętosław w Krakowie, a tegoż roku w Wilnie świątobliwy Ojciec Marian z Jeziorek, czczony pośród ludu długo, jako święty. Pozostawał jeszcze przy życiu bł. Ładysław z Gielniowa.

Właśnie w tym czasie narzuciła się na nowo sprawa węgierska. W r. 1490 zmarł Maciej Korwin, a wtedy Kazimierz Jagiellończyk robił wielkie przygotowania, żeby osadzić na tronie węgierskim królewicza Jana Olbrachta. Ubiegł go jednak najstarszy z braci, Władysław czeski i połączył przeciw woli ojca w jednym ręku Węgry z Czechami. Bądź co bądź, dynastia Jagiellońska stawała się najpotężniejszą w Europie. Panowała w Polsce, na Litwie, w Czechach i na Węgrzech, mając nadto zwierzchnictwo lenne nad Wołoszczyzną i Prusami krzyżackimi.

Nie długo przeżył Macieja, największego Polski wroga, król Kazimierz Jagiellończyk; zmarł w r. 1492.

Data ta: 1492, znana jest powszechnie na całym świecie, gdyż jest to rok odkrycia Ameryki. Nastały przez to wielkie zmiany w interesach nie tylko wszystkich narodów europejskich, ale w ogóle wszystkich ludów ziemi. Ponieważ zaś w tym samym pokoleniu zmieniły się gruntownie

warunki oświaty, zaniosło się przeto z końcem wieku XV i z początkiem XVI na zmiany epokowe, które zaryły się jak najgłębiej w umysły ludzkie.

W historii powszechnej rozróżnia się cztery główne epoki. Czasy przed przyjściem Chrystusa Pana, tudzież dzieje rzymskie aż do upadku cesarstwa zachodnio rzymskiego w połowie V wieku po Chrystusie, nazywamy historią starożytną. Zaczyna się potem historia średniowieczna, która liczy się właśnie do roku śmierci Kazimierza Jagiellończyka, 1492 roku. Następne zaś czasy, do rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich, zowiemy historią nowożytną; są to lata 1492—1815. Co zaś po roku 1815 się działo, zaliczamy do historii nowoczesnej.

Kazimierz Jagiellończyk kończy wieki średnie, a syn jego i następca, Jan Olbracht, zaczyna historię nowożytną.

W dalszym ciągu tych naszych opowiadań będziemy się spotykać częściej ze świętymi, zapisanymi w księdze Historii i w chwale świętości.

17. POCZĄTKI NOWOŻYTNOŚCI

Owe epokowe przemiany, tworzące granice pomiędzy średniowieczem a wiekami nowożytnymi, dadzą się ująć we dwa działy: Rozszerzenie myśli ludzkiej, i rozszerzenie miejsca dla ludzi na ziemi. Wcześniej powiększył się zakres myśli i otwarły się nowe widnokręgi dla nauk i nowe tory dla oświaty; od tego więc zacznijmy.

Uniwersytety, starając się objąć całą wiedzę ludzką, wytwarzały coraz nowe nauki, bo badania naukowe wiodły do coraz nowszych niespodzianek, do nieustannych odkryć naukowych. Obok teologii powstawały nauki świeckie, zrazu uprawiane także przez samo duchowieństwo; z czasem atoli poczęli pojawiać się studenci, którzy uczyli się, jak klerycy, lecz kapłanami zostać nie zamierzali. Nauka bez powołania kapłańskiego szerzyła się w XV w. we Włoszech, a w XVI już także na północy Alp. Kościół nie zamykał nigdy swych szkół dla świeckich, ale — jak o tym była mowa — świeccy długo nie chcieli nic słyszeć o nauce szkolnej. Dopiero gdy kapłani już na wielką skalę uprawiali nauki całkiem świeckie, nie zawierające nic teologicznego w sobie, zaczęła się zwolna garnąć do nauk także młodzież nie zamierzająca studiować teologii.

Powstawała inteligencja świecka. Przyczyniło się do tego wielce zamiłowanie do studiów nad cywilizacjami starożytnymi, nad światem greckim i rzymskim, gdzie nauka była świecka. Z tych studiów powstał prąd umysłowy, zwany humanizmem, dodający naukom żywiołu świeckiego.

Posunęła się i rozszerzyła oświata walnie przez sztukę drukarską. Wynaleziono ją w Niemczech w r. 1436 (Gutenberg), ale trwało to długo, zanim poznano się na wartości drukarstwa i nim zaczęto stale go używać. Dzięki drukowi książki potaniały, a to sprawa zasadnicza dla oświaty. W Krakowie pojawiła się sztuka drukarska około roku 1474, lecz dopiero za króla Jana Olbrachta ustaliło się drukarstwo w Krakowie, a niebawem potem, za Zygmunta Starego należał Kraków do najruchliwszych ognisk drukarskich w Europie. Polskie książki zaczęto wydawać w Krakowie od r. 1521.

Dzięki drukowi nie trzeba było tracić tyle czasu na przepisywanie książek, i coraz więcej uczących się mogło posiadać książki własne. Rozchodziły się też drukowane dzieła w coraz większej ilości egzemplarzy dzięki temu, że mogły być coraz tańsze.

Studenci rozchodzili się po całym kraju, coraz łatwiej było o nauczyciela, przybywało szkół, i tak około roku 1500 cała szlachta i mieszczaństwo były w Polsce piśmienne, tak iż pod tym względem wyprzedziliśmy sąsiednie Niemcy. Uniwersytet Jagielloński kwitnął, uprawiano obok teologii filozofię, starożytnictwo greckie i rzymskie, prawo i nauki przyrodnicze, zwłaszcza zaś astronomię i matematykę. Już w połowie XV w. uczył profesor Marcin Król z Żurawicy, jak oznaczać wzniesienia i odległości na wielkich przestrzeniach, jak robić pomiary całych okolic (trygonometria). W krakowskim uniwersytecie dokonał profesor Wojciech Brudzewski od-

krycia, że księżyc zwrócony jest do ziemi zawsze jedną tylko stroną i że krąży koło ziemi po drodze nie kolistej, lecz owalnej. A uczniem jego był Mikołaj Kopernik, największy astronom całego świata, który zerwał z mniemaniem, jakoby słońce i wszystkie planety obracały się koło ziemi, lecz odkrył, że jest przeciwnie, że ziemia krąży koło słońca. Ten sam Kopernik był wybitnym uczonym w nauce finansów państwowych. W pierwszej połowie XVI w. nauka polska stawała w naczelnym szeregu wiedzy Europejskiej. Ale to wszystko było ciągle jeszcze po łacinie.

Oświatę zaś da się rozpowszechnić tylko we własnym języku ojczystym. Zobaczymy, jak polszczyzna stawała się coraz bardziej językiem piśmiennym. Po Ładysławie z Gielniowa mieli nastąpić inni, a znacznie go przewyższający.

Ale nauczanie teologiczne odbywało się po łacinie, jak jest w znacznej części dotychczas. Ci sami Bernardyni, którzy dopomagali do wykształcenia polskiego języka literackiego, spisywali swoje wywody teologiczne po łacinie. Taki np. O. Jan Szklarczyk, sławny mistrz nowicjatów, układał podręczniki do nauki nowicjuszów tylko po łacinie. Wybitny ten Bernardyn był przedtem kapłanem świeckim i zyskał w uniwersytecie stopień magistra, a potem dopiero przyjął habit zakonny (w r. 1474). Był kilkakroć za granicą, jeździł jako delegat na kapituły generalne całego zakonu we Włoszech. On przywiózł z Rzymu kapelusz kardynalski Fryderykowi Jagiellończykowi. Prowincjałem był dwa razy. Zaliczał się do najlepszych znawców prawa kościelnego. Napisał rozprawę, w której wykazał, że Bernardynom wolno używać kosztownych kielichów i mostrancji, że nie muszą być drewniane. On też obronił stanowisko Bernardynów co do ważności sakramentów, udzielanych przez duchowieństwo prawosławne. Nazwisko jego pochodzi stąd, że był synem

szklarza; urodzony w Trzemesznie pod Gnieznem, przebywał w różnych stronach Polski, ostatnie lata życia spędził w Poznaniu i tam zmarł w r. 1515. Na grobie jego w kościele św. Marii Magdaleny, działy się cuda, ale kapituła zabroniła czynić przy nim ślubowań.

A tego samego roku 1515 zmarł w Kościanie Marian z Szamotuł, którego jeszcze za życia miano za cudotwórcę. W ogóle nie brakło Bernardynów zmarłych w stanie świętości, lecz jakoś nie dbano o to, bo nie robiono żadnych starań w Rzymie o potwierdzenie i rozszerzenie ich czci. Aż się wierzyć nie chce, jak brutalnie stłumiony był kult zmarłego w opinii świętości Ludwika z Warki. Był to „Kapistrańczyk", tj. jeden z tych, którzy zaraz w r. 1453 w Krakowie zakładali pierwszy klasztor bernardyński. Następnie przebywał w Warszawie, musiał kazania swe wygłaszać na ulicach, bo żaden kościół nie mógł pomieścić słuchaczy. Słynął z nadzwyczajnej pokory, obok obfitości wszelkich innych cnót. Na grobie jego także działy się cudy i zawieszano wota, ale gwardian Auctus popalił wszystko, mówiąc: „Jeśli jest święty, niech chwałę ma w niebie, ale nam zbiegający się ludzie sprawiają roztargnienia i przykrości". Wszystko to z przesadnej pokory! I spór o monstrancje drewniane i jakaś niechęć do podnoszenia braci na ołtarze, wszystko to były objawy duchowego umartwiania się, pochodzące z obawy, żeby upokarzania się nie było za mało. Czy jednak w tym wypadku nie pobłądzono przesadą?

A Bernardyni byli wszędzie i zajmowali się wszystkim. Od nich wywodzi się także instytucja kapelanów wojskowych. Oni pierwsi towarzyszyli wojskom polskim, wyprawiającym się na Wołoszczyznę lub na Tatarów, których zagony stawały się niestety zjawiskiem pospolitym w tych czasach, niemal rok w rok.

Nie tylko nad morze Czarne nie można było posuwać się, ale zaniedbano się nad Bałtykiem nawet. Wielki Mistrz krzyżacki odmawiał hołdu, a więc król polski miał prawo odebrać mu Prusy Wschodnie. Tak radził sławny biskup tamtejszy, biskup warmiński Watzelrode; choć Niemiec, prosił króla, a nie tylko od siebie, żeby resztę państwa krzyżackiego wcielić do Polski. Ale na próżno czekano sposobnej pory!

Od samego wstąpienia na tron Jana Olbrachta wciąż te najazdy tatarskie! Klasztor bernardyński w Samborze leżał im na drodze, toteż spalili go, a zakonników uprowadzili do niewoli. Gdybyż przynajmniej hospodar wołoski stał po stronie chrześcijaństwa! Żeby go związać z Polską, postanowiono zdobyć dla niego krainy wybrzeżne nad ujściami Dniestru i Dunaju. Skoro je otrzyma od Polski, może nie będzie popierać Turka! Ale Stefan wołoski i tak zdradził, a podczas wyprawy w r. 1497 oświadczył wręcz, że uważa się za poddanego sułtana. W osławionych lasach bukowińskich kazał na znacznej przestrzeni popodrzynać drzewa i znienacka zwalać je na przechodzące wojsko polskie. Trupami zatarasował drogę dalszym oddziałom. A zaraz w następnym roku nowy najazd turecko-tatarski i z wołoskimi posiłkami! Całe sto tysięcy jeńców uprowadzonych w jasyr!

Wtedy bł. Ładysław z Gielniowa kazał w podległych sobie klasztorach odprawiać osobne specjalne nabożeństwa, i sam przebiegał z krzyżem w ręku miasta i wsie, wzywając do modlitwy i do oporu zarazem. Niestety, opór był bezskuteczny; modły chroniły przynajmniej od rozpaczy. Najbardziej ucierpiał znowu klasztor w Samborze, ledwie co odbudowany po poprzednim najeździe. Zamordowali dwóch braciszków, którzy pozostali na miejscu. Imiona ich Jan i Bogusz. Dziesięciu zakonników

szukało ocalenia w ucieczce, lecz trzech ledwie zdołało się ocalić. Siedmiu pojmano, a między nimi Jerzego, gwardiana z N. Miasta, który bawił chwilowo w Samborze. Od tego czasu zaczęli Bernardyni obwarowywać swe klasztory na wschodzie.

A kiedy papież Aleksander VI zaczął głosić krucjatę na Turka i kiedy król Jan Olbracht gotował się do tej wyprawy krzyżowej, mieliśmy zaraz Tatarów u siebie aż pod Lublinem i pod Opatowem. Natenczas król Jan Olbracht zmuszony był zawrzeć z Turcją rozejm na lat pięć. Było to w styczniu 1501 r., a w czerwcu król już nie żył.

Panowanie brata i następcy jego, Aleksandra, który pod jednym berłem łączył na nowo Litwę z Polską, zaczyna się od strasznego najazdu tatarskiego. W r. 1502 sięgnęli aż poza Wisłę. Wsławił się wtenczas Opatów. Tamtejszy klasztor Bernardynów był już obwarowany, mnóstwo więc ludu schroniło się do nich. Tatarzy miasto spalili, lecz klasztor na próżno przez cztery dni oblęgając, odeszli. Strzał Tatarzy wypuścili tyle, iż jeszcze po kilkudziesięciu latach niektóre widać było zaryte w dachach. Jeden z Ojców imieniem Jan, a który był zakrystianem, odprawiwszy mszę, poszedł na wały i zastrzelił wodza tatarskiego; a następnie przy bramie, broniąc wejścia z mieczem w ręku, zabił trzech Tatarów, ale sam odniósł od ich strzał takie rany, iż po trzech dniach zmarł.

Podczas oblężenia spłonął dom syndyka klasztoru, w gruzach znaleziono jednak krucyfiks nieuszkodzony. Uznano ten krzyż cudownym, a gwardian opatowski obszedł z nim nawet dalsze okolice, a za nim szły procesje, zanosząc gorące modły o zmiłowanie Boże, żeby kraj zaznał spokoju od tych najazdów.

Przedłużono rozejm z Turcją na dalszych pięć lat,

ale sułtan uważał, że byle Turków nie ruszał na Polskę, wolno mu poduszczać Tatarów. Nowy najazd zniszczył Ruś i Litwę aż po Kleck i Nieświeź, a choć Tatarzy ponieśli w końcu ciężką klęskę w polu, ci, którzy wrócili do ordy, wracali obłowieni doskonale.

Wśród tych najazdów przyszło w r. 1505 umierać bł. Ładysławowi z Gielniowa. Zmarł i pochowan jest przy ulubionym swym klasztorze warszawskim w kościele św. Anny. Na grobie działy się różne cudy, których spis aż po rok 1522 dochował się; dalsze papiery poginęły niestety. Beatyfikacji dokonano dopiero za papieża Benedykta XIV (1740 — 1758).

Zaraz po tym świątobliwym zgonie patrona Warszawy nastąpił nowy najazd tatarski na Podole, a potem w r. 1506 rozpoczął się najazd największy, pod hanem krymskim Mengli-Girejem, który zapędził się aż niedaleko Wilna. Tam właśnie przebywał król Aleksander, chory już od dłuższego czasu. Doczekał się jeszcze wiadomości, że Tatarów pobito pod Kleckiem, po czym zakończył swe dni ziemskie i krótkie swe królowanie w r. 1506.

I do tego także króla kołatał biskup warmiński Watzelrode na próżno, żeby Krzyżaków całkiem wypędzić. Kiedyż Aleksander mógłby się był na to zebrać?

A nie brakło temu królowi bynajmniej rozległej myśli politycznej, sięgającej w dalszą przyszłość! Jan Łaski, kanonik poznański (a potem arcybiskup i prymas) powziął program, który przetrwał półtora stulecia, przynajmniej w pewnej swej części. Zbierał Łaski około siebie stronnictwo zwane narodowym, a które pragnęło wracać do polityki Bolesławów, do dążeń Chrobrego i Krzywoustego, żeby opanować wybrzeże Bałtyku od Prus aż daleko na zachód, żeby w państwie polskim znajdowało się ujście nie tylko Wisły, ale również Odry. A więc do-

magali się stronnicy Łaskiego po pierwsze: żeby całe Prusy przejąć pod bezpośrednie zwierzchnictwo korony polskiej; po drugie, żeby objąć zwierzchnictwem lennym Pomorze zachodnie na zachód od Pomorza gdańskiego aż poza Odrę. W tym celu wdał się Łaski w układy z głównym księciem tamtejszym, Bogusławem X i uzyskał od niego zgodę. Po trzecie, żeby uniknąć szwedzkiego współzawodnictwa o panowanie na Bałtyku, głosili hasło unii ze Szwecją. Senat szwedzki program ten przyjął. Król Aleksander plany te uznał i przyłączył się do nich i posła do Szwecji od siebie wyprawił. Podczas układów przedwstępnych śmierć króla zabrała.

Program Łaskiego mieścił w sobie zupełne całkowite panowanie na Bałtyku na spółkę ze Szwecją. Zobaczymy jeszcze, jak głęboko w umysły polskie wbiła się myśl o tej spółce.

Z sześciu synów Kazimierza Jagiellończyka czterech już zmarło, bo i kardynał Fryderyk Jagiellończyk żył krótko; zmarł w r. 1503. Pozostali przy życiu najstarszy z braci i najmłodszy: Władysław czesko-węgierski i Zygmunt, którego wyniesiono w r. 1506 na trony polski i litewski.

Zygmunt panował długo, bo do roku 1548, dożywszy lat wieku swego 81. Nosi przydomek Starego, który nadano mu jeszcze za życia i to w czasie, kiedy wcale tak dalece starym nie był, bo liczył dopiero 63 lata. Polacy przywiązali się mianowicie wielce do dynastii Jagiellońskiej i posiadali silne poczucie monarchiczne; uważano więc za stosowne zapewnić z góry następstwo synowi po ojcu. Wybrano więc w r. 1530, królem dziesięcioletniego królewicza Zygmunta Augusta i zaraz go koronowano. Skoro koronowany, był więc prawnie królem. I tak mieliśmy przez 18 lat, w latach 1530—1548, dwóch królów.

Obydwom było na imię Zygmunt, więc dodawano dla odróżnienia „stary” i „młody” i stąd przydomek Zygmunta Starego. Zastrzeżono jednak w r. 1530, że młodemu nie będzie wolno wdawać się w rządy, póki żyje ojciec, choćby żył najdłużej i choćby syn sam jak najwięcej „dorósł”. Jakoż dożył Zygmunt August 28 lat jeszcze za życia ojca. Sam panował potem przez lat 24, trwało przeto panowanie obydwóch Zygmuntów przez lat 66, mieszcząc w sobie dwa pokolenia. W historii zowią się te lata „czasami Zygmuntowskimi”.

Są to czasy rozkwitu myśli polskiej, nauki i literatury; czasy wielkiej powagi państwa polskiego, które wysunęło się do pierwszego w Europie szeregu — ale jednak nie powiodło się nam dotrzeć do morza Czarnego, aniśmy też Bałtyku nie opanowali.

Panowanie Zygmunta Starego zaczyna się niemal od sprawy o unię ze Szwecją, w myśl programu Łaskiego. W dalszym ciągu układów, wszczętych za króla Aleksandra przybył w marcu w r. 1507 poseł szwedzki do Krakowa, w sam raz na koronację Zygmunta. Nowy król odpowiedział, że w zasadzie zgadza się, lecz obecnie umawiać się nie może co do szczegółów, gdyż musi spieszyć na Litwę z powodu najazdu moskiewskiego. A wojna moskiewska miała się przedłużać bez końca.

Program polityczny morski stawał się dla wieku XVI koniecznością. Tak się bowiem zmieniły wielkie szlaki handlu międzynarodowego, że te tylko narody mogły dochodzić do dobrobytu, które panowały nad wybrzeżami mórz. Pozostaje to w najściślejszym związku z owym rozszerzeniem miejsca dla ludzi na ziemi, o czym była wzmianka na początku niniejszego rozdziału.

W przenośni można by wyrazić się, że świat się rozszerzył.

Był to okres wielkich odkryć geograficznych. Chodziło o to, żeby odkryć drogę morską do kraju, gdzie od starożytnych czasów aż po dni nasze, leżały i leżą zawsze źródła olbrzymich bogactw do handlu międzynarodowego, tj. do azjatyckich Indii. Szukano drogi morskiej, bo na lądowych drogach w Azji dawało się we znaki tureckie panowanie.

W poszukiwaniach tych współzawodniczyli Portugalczycy i Hiszpanie. Portugalscy żeglarze długo próbowali opłynąć w tym celu Afrykę dookoła, po czym dopiero otwarłby się dla nich ocean Indyjski. Zaczęły się te wyprawy w r. 1415, a dopiero słynny Bartłomiej Diaz dotarł w r. 1486 do południowych krańców Afryki; wykonał tedy ledwie połowę zadania. Ale o drugą połowę było już łatwiej i wreszcie w r. 1498 Vasco de Gama dokonał okrążenia Afryki, a od r. 1504 zaczęło się opanowywanie Indii przez Europejczyków.

Hiszpania próbowała szczęścia wprost przez Ocean Atlantycki. Po tej drodze wykreślał plany wypraw największy żeglarz wszystkich czasów, Krzysztof Kolumb. Był to Włoch, obywatel miasta żeglarskiego Genui, ale nie znajdował poparcia we własnej ojczyźnie. Uwzględniając kulistość ziemi, przypuszczał, że Atlantyk oblewa z jednej strony brzegi Europy zachodniej, a z drugiej brzegi Azji wschodniej. Nikt nie miał pojęcia o tym, że pomiędzy Europą a Azją istnieje w pół drogi przez ocean osobna, nieznana jeszcze część świata. Wykołatawszy po wielu trudach okręty i zasiłki na wyprawę, dopłynął w latach 1492, 1495 i 1499 do wysp, tworzących cały archipelag, a który nazwano Indiami zachodnimi. Dopiero podczas czwartej wyprawy, w latach 1502 — 1504, odkrył wybrzeże Hondurasu w Ameryce południowej. Nikt, ani sam nawet Kolumb nie domyślał się, że odkryto nową część

świata! A kiedy na jednej z wypraw portugalskich w r. 1500 silny prąd morski uniósł statki Portugalczyków i poniósł ich żaglowce aż do Brazylii, nikt nie wiedział, że to jest na południe od Hondurasu w tej samej części świata. W ogóle nie wiedzieli wzajemnie o sobie.

Dopiero kiedy w r. 1513 dotarto w Ameryce środkowej do Oceanu Spokojnego, zorientowano się, że odkryto nie wschodnie wybrzeża Azji, lecz nową część świata, z której daleko jeszcze do azjatyckich Indii. Wreszcie w latach 1519 — 1522 admirał Magellan (Portugalczyk, lecz w służbie hiszpańskiej) opłynął całą ziemię, odbył pierwszą podróż naokoło świata.

Ameryka okazała się źródłem bogactw wcale nie pośledniejszym od Indii, a Hiszpania zbogaciła się jeszcze bardziej od Portugalii. Cenne rośliny, korzenie, przyprawy i (o co najbardziej chodziło) kopalnie złota.

Między tymi największymi i najsławniejszymi admirałami wyróżniał się Krzysztof Kolumb tym, że nie dla bogactw żeglował, lecz uniesiony zaciekawieniem naukowym, tudzież zapałem do krzewienia prawdziwej wiary w nieznanych dalekich krajach. Dokonywał zaś podróży swoich wśród wielkich kłopotów i umartwień, prześladowany zawiścią ludzką (nawet więziony przez rząd hiszpański), ścigany przez los, ale zawsze gotów do nowych trudów. Jego podróże odkrywcze miały w sobie więcej cech poświęcenia, niż tryumfów. Przecierpiał niezmiernie wiele, aż dziwić się trzeba, że zdołał tyle złego wytrzymać. Tłumaczy się to tylko gorącą jego wiarą, nadzwyczajną bogobojnością. Uznał to Kościół i właśnie za naszych czasów przeprowadzono proces kanonizacyjny.

Oczywiście musiało minąć przynajmniej jedno pokolenie, przynajmniej jakie 30 lat, zanim odkrycie drogi do Indii i Ameryki zaczęło wydawać skutki. Odczuto i zro-

zumiano to dopiero około r. 1530 i dlatego dopiero tu w tym miejscu o tym się rozpisujemy. Dla Polski stało się odtąd wprost koniecznością, żeby zdobywać jak najwięcej wybrzeża morskiego. Cały nasz byt zależał od tego, czy spełni się hasło „od morza do morza".

Dawny handel śródlądowy zamienił się skutkiem wielkich odkryć geograficznych na handel oceaniczny, zamorski, a dostęp do niego i do bogacenia się mogły uzyskać tylko takie państwa, które posiadały sporo wybrzeży morskich. To, cośmy odzyskali na Krzyżakach za Kazimierza Jagiellończyka, było drobiazgiem wobec tego, czego nam było potrzeba. Bałtyk dobry był dla prowincji północnych; południowym trzeba było bardziej dostępu do morza Czarnego. Jeżeli tej drogi sobie nie zabezpieczymy, pozostaniemy krajem ubogim — a zatem nie zdołamy też nabyć znaczniejszej siły politycznej.

Nawet nad Bałtykiem groziło nam jeszcze niebezpieczeństwo. Zakon nie tracił nadziei, że odbierze nam na nowo Pomorze gdańskie. Wielcy Mistrzowie Zakonu odmawiali składania przysięgi lennej. Opierając się Polsce, pokładali nadzieję w dynastii habsburskiej. Ażeby wydrzeć Jagiellonom korony czeską i węgierską, osaczał cesarz niemiecki, Maksymilian z rodu Habsburgów, Polskę i Litwę dookoła koalicją, do której wciągał Danię, Mołdawy, Brandenburgię, Saksonię, Krzyżaków i Moskwę. Krzyżacy zaś wybierali sobie Mistrzów naumyślnie z książęcych rodów z Niemiec; najpierw Fryderyka saskiego, potem Albrechta brandenburskiego. Zygmunt Stary protestował i ostrzegał, że będzie wymagać hołdu i posiłków wojennych w razie wojny z Moskwą, Tatarami lub Turcją i że opór Zakonu gotów jest złamać użyciem siły zbrojnej tj., że zdecydował się na nową wojnę z Krzyżakami.

Łaski zabiegał w r. 1513 znowu w sprawie Pomorza

zachodniego i sam Bogusław X wznowił układy o stosunek lenniczy, lecz król odpisał mu, że musi odłożyć układy do sposobniejszej pory. Szkoda, bo wraz z Bogusławem można było wziąć Zakon we dwa ognie.

Na Węgrzech zaś ubezpieczał się Zygmunt Stary zawczasu przeciw Habsburgom, wiążąc się z Zapolyami, rodziną książąt siedmiogrodzkich: w r. 1512 pojął nawet za żonę księżniczkę Barbarę Zapolską, panią wielkiej świątobliwości. Rozgrywki, zwłaszcza o koronę węgierską, oczekiwano z niepokojem w całej Europie. Król czeski i węgierski, Władysław Jagiellończyk (brat polskiego Zygmunta) miał wprawdzie syna Ludwika, ale było to dziecię tak chorowite, iż nie wróżono mu dłuższego życia.

O Węgry chodziło Zygmuntowi, a nie o Czechy, bo żyła w Polsce wciąż tradycja Władysława Warneńczyka. Chodziło o związek z Węgrami na wojnę z Turcją. Przez dwieście lat mieliśmy marzyć o wypędzeniu Turka z Europy, — i przez dwieście lat miała nam przeszkadzać Moskwa, wiążąc nam ręce niejako od tyłu. Jakże urządzać ligę wojenną przeciw sułtanowi, gdy za każdym prawie razem groził nam od tyłu najazd moskiewski na Litwę?

Z Moskwą miała Litwa wojnę już od roku 1507, a gdy przerwano ją rozejmem, cesarz niemiecki namówił Wasyla moskiewskiego, żeby rozejm zerwał. Cztery razy wyprawiał się Wasyl na Litwę; dwa razy oblęgał na próżno Smoleńsk, aż wziął go zdradą w r. 1514. A był to gród nader ważny nad górnym Dnieprem, na północnych kresach Wielkiego księstwa litewskiego. Tegoż roku odniesiono jednak wielkie zwycięstwo w polu pod Orszą. Współcześni przypisywali je skutecznym modłom królowej Barbary Zapolskiej. Tradycja tego przechowywała się aż do końca królestwa polskiego, skoro jeszcze w r. 1767 pisano o tym w te słowa:

„Względem Pana Boga, miłości Jego i bliźnich była pełna w cnoty wielkie i miłosierne uczynki obficie przybrana, marnościami świata gardząca, a w nabożeństwie gorąca, a w chwale Boskiej ustawiczna. Gdy król Zygmunt wyprawił się na wojnę przeciwko Moskwie, a pod Orszą z wielkim ich wojskiem miał stoczyć bitwę w nierównych siłach, polecił tę sprawę małżonce pobożnej swojej. Więc ona nieprzestannie we dnie i w nocy z obfitymi łzami Boga błagała; podłe na się wziąwszy szaty, ostre posty chowała, jałmużny szczodrą ręką na ubogich sypała. I tak szczęśliwie król wygrał i nad ludzką nadzieję wielkie otrzymał nad nieprzyjacioły zwycięstwo, które on sam i wszyscy inni modlitwom i zasługom tej świętej królowej przypisali".

Niestety, tylko przez trzy lata zasiadała na polskim tronie ta „święta królowa"; porwała ją przedwczesna śmierć już w r. 1515. Ponieważ nie pozostawiła potomstwa, król musiał się ożenić powtórnie; zawarł powtórne śluby w r. 1518 z księżniczką włoską Boną. Ta po dwuletnim pożyciu obdarzyła go synem (Zygmunt August).

Rok zaś zgonu Barbary Zapolskiej miał się stać zarazem rokiem klęski politycznej: Łaski znowu nadaremnie wznowił układy o unię ze Szwecją. Coś całkiem innego wysunęło się natomiast na widownię polityczną. Władysław czesko-węgierski ulegał naciskowi cesarza Maksymiliana i skłaniał się już od trzech lat do rozmaitych układów z Habsburgami o następstwo na trony czeski i węgierski. Opuszczony przez własnego brata, jakżeż miał Zygmunt Stary sam stawiać cesarzowi przeszkody, zwłaszcza że był otoczony jego koalicją? Zjechali się więc w Wiedniu 1515 obydwaj Jagiellończycy, Władysław i Zygmunt z cesarzem Maksymilianem i tam zawarto w katedrze św. Szczepana dwa śluby małżeńskie. Cesarz

Maksymilian poślubił w imieniu swego wnuka Ferdynanda królewnę czeską i węgierską Annę, córkę Władysława Jagiellończyka; syn zaś Władysława i brat Anny, słabowity Ludwik (na którego śmierć czekali Habsburgowie), wówczas dziewięciotni, żenił się z wnuczką cesarza Marią. W rok potem król Władysław umarł, a korony czeska i węgierska spoczęły na czole dziesięcioletniego Ludwika.

Ubezpieczyli się tedy Habsburgowie na wszelkie wypadki. Zygmunt Stary samą obecnością swoją w Wiedniu zatwierdzał niejako te umowy, za co Maksymilian przyrzekał, że pozostanie neutralnym w sporze z Krzyżakami i że będzie pośredniczył na korzyść Zygmunta w wojnie z Wasylem.

Nie tylko żadnych przyrzeczeń cesarz nie dotrzymał, lecz podżegał nadal Krzyżaków i Zygmunt Stary był zmuszony wszcząć z nimi wojnę, chociaż równocześnie był wciąż zagrożony przez Wasyla.

W tych opałach wysuwa się jeszcze raz wielki program Łaskiego. Wymarła w tych czasach szwedzka dynastia narodowa, kraj był rządzony przez gubernatorów, Polsce życzliwych. Właśnie w r. 1520 zmarł drugi z kolei z tych gubernatorów, Sven Sture młodszy. Syn jego rodzony, Nils, wybrał się wraz z kanclerzem Piotrem Jacobsonem do Polski, żeby Zygmuntowi Staremu ofiarować koronę szwedzką. Poselstwo szwedzkie stawiło się przed królem w Toruniu na samym początku wojny z Albrechtem pruskim, i otrzymało znowu odpowiedź nijaką. Trudno było Szwedom wiecznie czekać. W rok potem oddali rządy na razie zastępcze Gustawowi Wazie, a w roku 1523 wynieśli go na tron. Ta nowa dynastia, Wazów, miała następnie zasiąść na tronie polskim.

Tymczasem wojowaliśmy z ostatnim niemieckim Mi-

strzem krzyżackim. Plan wojny ułożył utalentowany wojewodzic krakowski, Jan Tarnowski, a tak trafnie, iż wkrótce za to został potem hetmanem. Wykonując ten plan, ówczesny hetman polski Mikołaj Firlej podszedł z wojskiem pod sam Królewiec, a na zachodzie lud kaszubski kosami i cepami przepędził posiłki zaciężne, przysłane Albrechtowi z Niemiec. Warto zapisać tu ciekawe wydarzenie: Kiedy w marcu 1521 powiodło się ocalić miasto Elbląg przed wojskiem krzyżackim, miasto to, czysto niemieckie, ustanowiło z tego powodu wielką uroczystość. I obchodzono rok w rok rocznicę dnia 8 marca, dnia odpędzenia Krzyżaków od miasta; obchodzono tę uroczystość aż do końca niepodległości królestwa polskiego. Przy takiej nienawiści własnych poddanych była więc sposobność zgnieść krzyżactwo do reszty, wyrzucić ich znad Bałtyku, a Prusy krzyżackie wcielić do Polski.

Ale były przeszkody. Turcy zagrażali już bowiem bezpośrednio Węgrom. Zwrócono się do Polski o pomoc. Wyruszył tam hetman Jan Tarnowski i Turcy wstrzymali się w zwycięskim pochodzie. Te kłopoty na południu wybawiły Albrechta z opałów. Gdy poprosił o rozejm czteroletni, udzielono mu go, przypuszczając, że tymczasem zażegna się niebezpieczeństwo tureckie. Ale przez te cztery lata zmieniły się niespodziewanie stosunki tak, iż panowanie Zakonu w Prusiech zamieniło się na świeckie państwo niemieckie.

Stało się to z przyczyny protestantyzmu. Protestanci zowią swoje herezje „reformacją", co ma znaczyć naprawą Kościoła. Ale to była nie reformacja, lecz rewolucja w Kościele. Zaczęła się w r. 1517 od Marcina Lutra, wnet potem przybył kalwinizm, a niebawem zjawiło się już kilkadziesiąt rozmaitych sekt. Książęta niemieccy sprzy-

jali luteranizmowi, bo zagarniali na wszystkie strony dobra kościelne. Takie zagarnięcie dobra kościelnego na rzecz państwa zowiemy sekularyzacją, to znaczy zeświecczeniem, przywróceniem do stanu świeckiego. W Niemczech sekularyzowano nawet biskupstwa i kilku biskupów porobiło się świeckimi książętami na dawnych dobrach biskupich. Do tych odstępców Kościoła przystał także Wielki Mistrz Albrecht z rodu Hohenzollernów, margrabiów brandenburskich.

Albrecht brandenburski był w duchu protestantem zaraz od początku; wyprawiał posłów do Lutra, a w r. 1523 pojechał nawet do niego do Wirtembergii w Niemczech i tam uradzono sekularyzację Zakonu. Chodziło tylko o to, czy przystanie na sekularyzację Prus zwierzchniczy pan lenny Albrechta, król polski.

Prymas Łaski jeszcze w ostatnim roku pruskiego rozejmu, w styczniu 1524 r. miał w Gdańsku zjazd z pełnomocnikami Danii, Meklemburga i Pomorza zachodniego. Przygotowywał koalicję całej zachodniej połaci wybrzeży bałtyckich przeciw margrabiom brandenburskim i Zakonowi. Ale król od początku niechętny był przyjmowaniu Pomorza zachodniego w lenno. Łaski utracił polityczne wpływy, a do steru doszli tacy, którzy woleli oprzeć politykę polską o Niemcy i sądzili, że wzmocni się Polska przez przyjaźń z Niemcami!!

O polskie zezwolenie na sekularyzację Prus starał się dwór węgierski. Młodziutki król czeski i węgierski, Ludwik, upraszał swego polskiego stryja, żeby za wszelką cenę ułożył się z Albrechtem, ażeby siły polskie były na wszelki wypadek gotowe przeciw Turcji. Sejm polski uchwalał olbrzymie sumy na wznowienie wojny w Prusiech, a tymczasem odbywały się już po cichu układy o sekularyzację.

W r. 1525 zjechał Albrecht Hohenzollern do Krakowa i na krakowskim rynku składał lenną przysięgę wierności Zygmuntowi Staremu, już jako świecki dziedziczny książę pruski. Odezwał się wtenczas arcybiskup lwowski, Bernard Wilczek w te słowa: „Jakżeż dotrzyma królowi polskiemu przysięgi ten, który jej nie dotrzymał Bogu?" Dochował się też łaciński wiersz szyderczy, pióra Stanisława Hozjusza, początkującego wówczas prawnika, o którym będziemy mieli potem wiele do powiedzenia.

Węgrom zaś nie zdała się sekularyzacja Prus na nic. W roku następnym 1526 ponieśli ciężką klęskę od Turków pod Mohaczem, gdzie też wycięte zostały polskie posiłki ochotnicze. Poległ w tej walce Ludwik Jagiellończyk, zaledwie 19-letni, jeszcze nawet o rok młodszy od swego stryjecznego dziadka, Władysława Warneńczyka. Trony Czech i Węgier zajęli po nim Habsburgowie.

Niezadługo wkroczyli Turcy ponownie na Węgry i część tego kraju podbili na długo pod panowanie mahometańskiego półksiężyca. Ruszyli jeszcze dalej i w r. 1529 zapędzili się aż pod Wiedeń. Oblęgali go, lecz na szczęście bezskutecznie.

Turcja wyrosła tymczasem na największą potęgę militarną świata. Drżała przed sułtanem cała Europa; nie można też powiedzieć, żeby się Polska nie była obawiała w tym czasie jakiejkolwiek zaczepki z Turcją. Już bowiem nie można było liczyć na powstanie całej chrześcijańskiej ludności Bałkanu!

Zagadnienie stosunku chrześcijan do rządów muzułmańskich na Bałkanie powikłało się w sposób nader przykry. Nie wszyscy chrześcijanie pragnęli, żeby ich uwolnić od jarzma islamu. Prawosławnym zaczęło się powodzić doskonale pod sułtanem. Patriarcha carogrodzki stał się uznaną przez sułtana głową schyzmatyków także

w sprawach świeckich, z własnymi funduszami i z własną administracją, zwłaszcza co do szkół i książek. Prawosławnych nie było wolno zmuszać na islam; urzędom tureckim nie było wolno uwięzić popa bez wiedzy patriarchatu. Nie tknięto dóbr cerkiewnych, a patriarcha miał prawo wysyłać na prowincję swych poborców po należne sobie podatki, których pobór sułtan mu gwarantował. Był więc patriarcha schyzmatycki panem wielkim i mocnym w państwie sułtana.

Toteż sławili sułtanów patriarchowie carogrodzcy, prawosławni i uczeni pisarze cerkwi bizantyńskiej. Układano poematy na cześć sułtanów, a samego zdobywcę Carogrodu nazwano „gwiazdą firmamentu". Nastało doskonałe porozumienie patriarchów z sułtanami. Rząd turecki spostrzegł wkrótce, że nic mu nie grozi ze strony schyzmy, że tylko same katolickie państwa myślą o lidze przeciw Turcji; zaczął więc prawosławie protegować, a stawiać zapory tylko katolicyzmowi, a nawet po niedługim czasie prześladować go.

Duchowieństwo prawosławne poczuwało się nawet do wdzięczności względem Turków za to, że uwolnili ich od „niebezpieczeństwa" unii kościelnej. Nienawiść przeciwko katolicyzmowi wzmagała się wśród cerkwi bizantyjskiej coraz bardziej. Doszło do tego, że patriarcha i sułtan stali się najściślejszymi sojusznikami we wszelkiej walce przeciwko Kościołowi katolickiemu.

Polskie plany wielkiej ligi przeciwko Turcji były przeto miłe tylko katolikom na Bałkanie, ale prawosławni stawali przeciw takim zamiarom; oświadczali się za sułtanem. Monarcha katolicki, który by wkroczył na Bałkan pod koniec XVI wieku, miałby nieprzyjaciół w schizmatykach.

Mniejszość katolicka, wielbiąc ciągle pamięć króla

Władysława Warneńczyka, uległa prześladowaniu. Utrzymanie katolicyzmu na półwyspie bałkańskim jest zasługą Franciszkanów i Bernardynów, którzy tam pozostali, niezrażeni żadnymi prześladowaniami. Z podziwem należy też stwierdzić, że nigdy nie zabrakło im nowicjuszów! Przeszło czterysta lat pełnili tam służbę Bożą jak najlepiej, żyjąc w ciągłym niebezpieczeństwie, w najgorszych niewygodach i nędzy. Ani nawet klasztoru mieć nie mogli. Za papieską dyspensą każdy z nich żył osobno, a w nieustannej wędrówce. Byli prawdziwie nowymi Braćmi wędrownymi. Od osady do osady, a zawsze w tajemnicy, poprzebierani, nocujący u zaufanych wiernych. Zwano ich „ujcami“ tj. wujami, bo gdy Franciszkanin przybył do katolickiego osiedla, podawano go wobec władz za „ujca” którego z mieszkańców. Każdy z nich był jakby wędrownym proboszczem. a nadto mieli rozmaite przywileje od Stolicy Apostolskiej. Mogli uwalniać od kar kościelnych, a także od przeszkód małżeńskich, mieli nawet prawo bierzmowania. A byli to z reguły zakonnicy z nauką wyższą; wydali niemało literatów i nawet wybitnych poetów. Zajmują poczesne miejsce w dziejach piśmiennictwa chorwackiego.

Ale prawosławie bałkańskie stało się już wrogiem dla Polski. Prawosławni hospodarowie wołoscy składali teraz hołdy sułtanom i podobnie jak Tatarzy gotowi byli rzucić się na Polskę na skinienie z Carogrodu. Tak Petryło mołdawski przekroczył granice polskie i rzucił się na Pokucie. Ale pobił go w sierpniu 1531 roku Jan Tarnowski w sławnej bitwie pod Obertynem. Z dział tam zdobytych ulany jest w katedrze na Wawelu wielki dzwon „Zygmuntem” zwany.

Ten sam hetman Tarnowski okrył się jeszcze raz sławą w wojnie z Moskwą, trzeciej już za panowania

Zygmunta Starego, (w latach 1534—1537) i zdobył Starodub nad Dnieprem. Nie zdołano jednak odebrać Moskalom Smoleńska i zawarto znowu rozejm na lat siedem.

Tymczasem zwalił się na Polskę i Litwę protestantyzm z Niemiec, popierany gorliwie przez księcia Albrechta z Królewca. Szybko lutrzyli się też książęta śląscy, żeby się bogacić sekularyzacjami. Ze Śląska szła ta fala na Wielkopolskę i już w r. 1521 zajrzał luteranizm między mieszczan poznańskich. Więcej zwolenników pozyskiwała jednak u nas francusko-szwajcarska sekta Kalwina, ale szerzyły się też wszelkie inne. Około 1550 liczono u nas aż 32 przeróżnych sekt! Bo gdy raz sprawy Boskie zdano na rozum ludzki, zaraz pokazało się, że „co głowa, to rozum". Ale też ta obfitość sekt stanowiła największą słabość protestantyzmu.

Co więc nam przyniosły początki nowożytności? Pogłębienie nauki i rozszerzenie oświaty stanowiły korzyści ogromne, niezmierne, ale odkrycie nowych dróg morskich będzie dla nas klęską gospodarczą, jeżeli Polska nie stanie się panią sąsiednich sobie mórz. Przyplątała się zaś do nowożytnej epoki kula u nogi: protestantyzm. Zobaczymy, jak odstępcy Kościoła stawali się w Polsce potem także odstępcami Ojczyzny, a nawet naprowadzali wroga na własny kraj. Do licznych kłopotów i zawikłań przybywał jeszcze jeden.

Rzecz całkiem prosta, że Kościół podjął walkę z protestantyzmem.

18. CZASY SOBORU TRYDENCKIEGO.

Wobec rozplenienia się sekciarstwa zachodziła potrzeba misji wewnętrznych, jak najliczniejszych i jak najgorliwszych. W tej działalności przodowali zakonnicy. Nie zabrakło w polskich klasztorach mężów świątobliwych, pociągających braci zakonnych do wytężonej pracy apostolskiej; nie zabrakło ani takich, których uważano za świętych i za cudotwórców. Jeszcze pod koniec wieku XVII zapisano, że cudami słynął i „słynie" grób Aleksego, Franciszkanina, który wymownymi kazaniami zwalczał protestantyzm w mieście Bytomiu na Śląsku, gdzie zmarł w r. 1528. Augustianie zaś krakowscy szczycili się świątobliwym Szymonem, który następnie przeniósł się do pobliskiego Olkusza i tam życia dokonał w r. 1536, a przy którego grobie „wielka światłość widywana bywa". Dominikański klasztor w Krakowie zasłynął kazaniami Stanisława Kokoszki, uczonego doktora Pisma św., wielce świątobliwego ascety, zmarłego w r. 1532. O nim zapisano, jako „cudami za żywota i po śmierci słynie".

Ale ponad wszystkich dostępujących sławy świętości, wzniósł się Bernardyn Stanisław, syn zduna ze wsi Zagórzyc pod Proszowicami, który przy ślubach zakonnych

przybrał sobie imię Rafała. Zwany jest powszechnie Rafałem z Proszowic, także Proszowskim. Za króla Olbrachta był gwardianem w Poznaniu, następnie trzy razy w Krakowie za Zygmunta Starego; a także w Wilnie i aż w Kownie, gdzie założył bractwo bernardyńskie św. Anny i wystarał się o kaznodzieję do języka litewskiego. Jeździł do Włoch na kapitułę generalną zakonu dwa razy; czterykroć zaś był prowincjałem, ceniony jako „zwierzchnik niezwykłej świętości". Ostatnie lata spędził na uboczu w skromnym klasztorku w Warcie w Wielkopolsce, gdzie dokończył życia w r. 1534. Grób zasłynął cudami, a wszyscy bez wyjątku wspominając o nim nazywają go wprost świętym. Zdziałał niezmiernie dużo dla coraz wyższego podniesienia swego zakonu. Wpływał na heretyków, na „innowierców" (jak ich wówczas zwać poczęto), bo używał także u nich pełnego szacunku. Wielką powagą otoczona była jego osoba, gdziekolwiek się zjawił. Wiedziano o nim dobrze na dworze Zygmunta Starego, a królowa Bona ciekawa była poznać go osobiście, i bardzo go ceniła.

Zajmującą bardzo postacią z czasów Zygmunta Starego był inny jeszcze Bernardyn, wielki mistrz kazalnicy, Zakrzewski. W spełnianiu ślubu ubóstwa takim był skrupulantem, iż „nigdy nie miał więcej, niż habit, płaszcz i dwie koszule". Stałym miejscem pobytu był mu Poznań, ale podróżował z kazaniami po całej Polsce; przenoszono go też umyślnie z klasztoru do klasztoru. W podróżach towarzyszyła mu zawsze matka, tercjarka. Zmarła też przy synu, na jego ręku ducha Bogu oddając w Poznaniu. Świątobliwy syn był następnie delegowany na kapitułę generalną do Włoch, skąd wybierał się na pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Ponieważ atoli u niego rozwijała się choroba piersiowa, nie doszedł dalej, jak do

miasta Bolzano we włoskim Tyrolu. Długo tam chorował i w tamtejszym klasztorze bernardyńskim przeniósł się do lepszego świata w r. 1535 i tam pochowany pod ołtarzem św. Anny. Umierał w opinii świętości, która otaczała go nawet tam za granicą.

Wybitnym obrońcą wiary w zwalczaniu protestantyzmu był też kanonik krakowski ze starego szlacheckiego rodu, Andrzej Rej. Nabrawszy przekonania, że więcej będzie mógł zdziałać, jeśli wstąpi do Bernardynów, nie zawahał się, i w najpokorniejszym, najuboższym z zakonów on stał się najpokorniejszym bratem. Budował wszystkich swym przykładem aż do zgonu swego w r. 1543.

Zdziałali ci świątobliwi zakonnicy wiele w walce z heretyckimi sektami, lecz walka ta wymagała jeszcze czegoś więcej: nauki twórczej. Trzeba było argumenty nowych sekciarzy odpierać argumentami naukowymi. Ponieważ zarzuty stawiane przez luteranów, kalwinów itd. były nowe, więc nie dawały się zwalczać według nauki teologicznej dotychczasowej, lecz trzeba było tę naukę rozwinąć, trzeba było wytworzyć w niej całe nowe rozdziały. Polska wydała właśnie taki wielki umysł twórczy: Stanisława Hozjusza, do którego kanonizacji czynione są obecnie przygotowania.

Stanisław Hozjusz (syn „gorodniczego" tj. zawiadowcy grodu w Wilnie) przyszedł na świat w Krakowie w r. 1504 i żył do roku 1579. Przeżywszy lat 75, napatrzył się zmianom wielu, sam zawsze stały i w poglądach katolickich niezmienny. Uczonością wielką celował nie tylko w Polsce, lecz w Europie całej, do najuczeńszych należąc nie tylko w Krakowie, lecz tak samo w Rzymie. Podróżował wiele, a później coraz dłużej przebywał za granicą, nie tracąc przez to bynajmniej związku z Polską zawsze jak najściślejszego; ale posiadał widnokrąg europejski. U-

miał patrzeć na Europę ze stanowiska polskiego, ale też i na Polskę ze stanowiska europejskiego. Od młodości przez całe życie zajmował się sprawami publicznymi: polityką i krajową i zagraniczną. Należy do największych mężów politycznych katolickiego świata.

Mieliśmy już sposobność poznać go, jako 21-letniego młodzieńca, autora wiersza szyderczego na sekularyzację pruską. Wiersz ten doszedł do królewskiego dworu i do samego ucha królewskiego, ale król wcale się nie gniewał. Owszem, zaciekawił się do osoby łacińskiego rymotwórcy, a potem Hozjusz zwracał na siebie uwagę Zygmunta Starego tym właśnie, że posiadał wykształcenie rozległe i głębokie, jak rzadko kto. Ukończywszy nauki w Krakowie, wyjechał na kilka lat do uniwersytetów włoskich i miał już pełnych lat trzydzieści, kiedy stamtąd wracał. Kształcił się na prawnika, i pozyskał w tym zawodzie wielką wiedzę. Takich właśnie potrzebowano w kancelariach królewskich, wnet też znalazł miejsce przy kanclerzu koronnym. Wróżono mu wielką przyszłość i opłacano go hojnie... chlebem kościelnym. Więc chociaż człowiek świecki, otrzymał Hozjusz dochody z kanonii warmińskiej na Pomorzu i z kanonii jeszcze dwóch innych, krakowskiej i sandomierskiej, z probostwa w Wilnie na zamku i z probostwa w Gołębiu. Namawiano go bardzo do stanu duchownego. Po długim namyśle, licząc lat 32, zdecydował się na... studia teologiczne. Jakim zaś cieszył się poważaniem w sferach najwyższych, jak wiele znaczył nawet w kościelnych sprawach, chociaż kapłanem jeszcze nie był, znać z następującego wydarzenia:

W r. 1540 wiosną bawił w Krakowie słynny kaznodzieja, Paulin, prowincjał z Częstochowy, Stanisław, rodem z Oporowa na Mazowszu i stąd zwan Oporowskim. Urodzony w r. 1501 (starszy o trzy lata od Hozjusza) uczył

się w klasztornej szkole u Paulinów w Oporowie, następnie w uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie otrzymał stopień doktora filozofii. Do roku 1530 był nauczycielem w szkołach średnich krakowskich, w r. 1531 wstąpił do Paulinów w Częstochowie, w r. 1533 został przeorem w Wielkich Młynach, a w r. 1537 prowincjałem zakonu. Zasłynął jako kaznodzieja; opowiadano, że tysiącami nawracają się protestanci, skruszeni przez niego. Jest też autorem podręcznika wymowy kaznodziejskiej, książki cenionej wielce przez kilka następnych pokoleń, a którą spisał w r. 1536. Posiadał atoli drugi jeszcze tytuł do sławy, a większy: dla swej nadzwyczajnej świątobliwości i z powodu łask Bożych, które dochodziły aż do cudotwórstwa. Właśnie w r. 1540 zasłynął na szerokim świecie cud wskrzeszenia za jego modłami naraz trzech zmarłych, cud wymodlony przed cudownym obrazem Jasnej Góry. (Cesarz Karol V kazał sobie wtenczas zrobić kopię cudownego obrazu).

Tego więc sławnego Paulina poproszono wiosną 1540 r. o kazanie w katedrze na Wawelu. Wobec zgromadzonych dostojników kościelnych i świeckich zaczął Oporowski z kazalnicy grzmieć i gromić wszystko a wszystko, co tylko złego było w warstwach najwyższych, a tak gromił, iż kilku nie mogło tego wytrzymać i kazanie mu przerwano. Wtedy Hozjusz, zbadawszy sprawę, oświadczył się za Oporowskim i na jego wstawiennictwo pozwolono Oporowskiemu po kilku dniach wejść na nowo na ambonę.

Stało się to podczas studiów teologicznych Hozjusza. Trwały one z reguły trzy lata dla osób, które już posiadały skądinąd wyższe wykształcenie. Nikt nie da wiary, że Hozjusz potrzebował na to jednak lat siedmiu. Widocznie jeszcze się namyślał, czy przyjmować wyższe święcenia. Kiedy wreszcie odprawiał prymicje na Skałce w Krakowie, liczył już lat 39.

Działo się to w r. 1543, w ostatnim roku życia owego Bernardyna krakowskiego, Andrzeja Reja. Nie łatwo przypuścić, żeby się nie znali osobiście, przebywając w tym samym mieście. Obydwaj należeli do najznamienitszych osób w mieście Krakowie; Hozjusz słyszał zapewne niejedno z kazań słynnego kaznodziei, a Rej wiedział oczywiście o Hozjuszu. Cała inteligencja krakowska zwracała uwagę na tego sławnego prawnika, mającego zapewnioną karierę dworską, a studiującego aż przez siedm lat, żeby się wyuczyć, czego trzeba na księdza. Wypadek był również nadzwyczajny, jak przed 20 mniej więcej laty porzucenie kanonii dla habitu bernardyńskiego. A jeżeli kto w Krakowie mógł wywrzeć wpływ na ostateczne postanowienie Hozjusza, toć jedynie ten były kanonik, kandydat niegdyś na biskupa, uczony i obyty w świecie Andrzej Rej.

Hozjusz jeszcze jako człowiek świecki, należał do najżarliwszych katolików, do najbardziej stanowczych przeciwników „nowinek religijnych" i „piątej ewangelii" (jak mawiano). Jeżeli decydował się wbrew osobistym zamiłowaniom i przyzwyczajeniom (już w tym wieku wcale ustalonym) przyjąć święcenia kapłańskie, czynił to dlatego, że postanowił sobie, iż życie poświęci walce z protestantyzmem, a z tego wywiąże się lepiej, jeżeli zostanie księdzem.

Król Zygmunt Stary postanowił, że pierwsze biskupstwo, jakie się opróżni, należeć się będzie Hozjuszowi i nie tail się z tym. Ale sposobność nasunęła się dopiero w siedem miesięcy po zgonie sędziwego króla. Syn i następca na tronie, Zygmunt August, spełniając ojcowskie polecenie, wyznaczył Hozjusza na biskupstwo chełmińskie w Prusiech Królewskich i przeprowadził szybko w Rzymie potrzebne do nominacji i konsekracji papieskie zezwolenie. Hozjusz znów się wahał, obawiając się, czy zajęcia

biskupie nie oderwą go od prac naukowych, jakim zamierzał przede wszystkim poświęcić się dla tym gruntowniejszej obrony katolicyzmu w kraju zalanym już przez sekciarstwo. Tym razem namawiał go, żeby przyjął katedrę biskupią, znakomity historyk tego czasu, sławny Marcin Kromer.

Niedługo mógł bawić w swej stolicy biskupiej, w słynnej z pięknego położenia Chełmży, bo tegoż jeszcze roku 1549 wypadło mu jechać do Wiednia. Nowy król był tego zdania, że nie ma co być w nieprzyjaźni z Habsburgami, skoro oni i tak usadowili się już na tronach czeskim i węgierskim. Toczyć z nimi wojnę? Żeby Niemcy i Moskwa znowu się sprzymierzyły, i żeby państwo polskie ujęte było w kleszcze z obu stron? Skorzystałaby z zamętu tylko Turcja i gotowałaby Polsce los podobny do Węgier. Już trzecia część Węgier przyłączona była do państwa tureckiego.

I tak było już dość utrapień z Tatarami i Wołochami. Nowe panowanie zaczęło się niemal od tatarskiego najazdu. Szczęściem hetman Tarnowski rozgromił ich pod Tarnopolem w r. 1549. W trzy lata potem drugi hetman, Mikołaj Sieniawski, zrzucił zwolennika sułtańskiego, Stefana, z hospodarstwa Multan, a osadził na nim Piotra, który złożył hołd Zygmuntowi Augustowi.

Chciał więc nowy król od początku pokoju, a nawet przyjaźni z Habsburgami i wybrał na posła do Wiednia Hozjusza. Ten podjął się zlecenia z zapałem, a marzył jeszcze o czymś więcej na przyszłość: że Zygmunt August i Ferdynand austriacki zawrą przymierze wojenne przeciw Turcji. Na razie wracał z traktatem przyjaźni. Wróciwszy zastał Polskę zawichrzoną.

Trzeba wiedzieć, że protestanci przywiązywali wielkie nadzieje do zmiany tronu. Zygmunt August od dawna

obcował dużo z protestantami i rozczytywał się w ich dziełach. Czynił to król dla pouczenia się, jak sprawa stoi, wcale nie myśląc samemu Kościoła porzucać. Zrazu jednak sam nie wiedział, co wśród rozmaitych mniemań jest jeszcze katolickim, a co już jest herezją, i stopniowo dopiero wyrabiał się na prawdziwego katolika z przekonania. Protestanci polscy marzyli, że król swą władzą zniesie w Polsce katolicyzm, a zaprowadzi tzw. kościół narodowy. Kościół narodowy jest przeciwieństwem powszechnego, bo ogranicza się do jednego tylko państwa lub narodu. Głową jego miał być monarcha; a kto jest innej wiary, niż monarcha, staje się przez to samo jakoby jego wrogiem. Kościoły narodowe prześladowały więc wszystkie inne przekonania religijne i wiodły do wojen domowych. Tak się stało w Anglii, tak było w Niemczech, gdzie książęta szereg takich „kościołów narodowych" potworzyli. Nie stało się tak w Polsce, dzięki Zygmuntowi Augustowi.

Protestanci polscy mniemali, że zaraz na samym wstępie panowania Zygmunta Augusta uda im się zmusić króla, żeby zerwał z Rzymem, a to z okazji jego małżeństwa. Zygmunt August, mając lat 23, ożenił się w r. 1543 z arcyksiężniczką habsburską Elżbietą, która jednak żyła po ślubie zaledwie dwa lata. Młody wdowiec poznał w Wilnie również młodą wdowę po wojewodzie trockim Gasztołdzie, Barbarę z książąt Radziwiłłów, a zapłonąwszy ku niej szczerą miłością, postanowił ją poślubić. Był w polskim prawie publicznym przepis, że królowi nie wolno się żenić bez zgody i wiedzy senatu; małżeństwu króla przypisywano bowiem doniosłe polityczne znaczenie. Nie mogło być o tym mowy, żeby senat pozwolił na małżeństwo z poddanką; dziś jeszcze panują w tej mierze rozmaite pojęcia, a cóż dopiero w XVI w. Coś podobnego uważano za wstyd dla korony polskiej. Król Zygmunt Stary żadną

miarą nie dopuściłby też do takiego rzekomego ubliżenia godności majestatu. Młody król ożenił się więc bez pozwolenia i w tajemnicy. Małżeństwa sekretne były wówczas jeszcze dopuszczalne (miał je niebawem znieść sobór trydencki). Poślubił więc w największej tajemnicy w Wilnie Barbarę Radziwiłłównę, a gdy raz małżeństwo było zawarte, sprawa przepadła; czy kto chciał, czy nie chciał, rozerwać go już nie mógł. Wczesną wiosną 1548 r. wybierał się Zygmunt August do Krakowa, ażeby ojcu wyznać sprawę, ale nie zastał go już przy życiu. Wstępując na tron, musiał nowy król ogłosić, że jest żonatym, że obok króla jest i królowa.

Na sejmie powstała gwałtowna wrzawa i krzyk oburzenia zerwał się na króla za rzekome podeptanie majestatu korony polskiej. Posłowie mieli w tym jednak swe wyrachowanie, a mianowicie, chcąc króla zmusić do rozwodu, zmuszali go przez to samo do zerwania z Rzymem; papież bowiem rozwodu dać nie mógł, bo małżeństwo było według ówczesnego prawa kościelnego najzupełniej prawne. Protestanci, a nawet nieprotestanci grozili, że wypowiedzą królowi posłuszeństwo. W senacie tylko biskup krakowski Samuel Maciejowski i hetman Jan Tarnowski bronili małżeństwa. Na klęczkach padano przed królem i błagano, żeby żonę opuścił. On na to wszystko odparł prostymi słowy, że „do ostatniej koszuli żony nie opuści" i dodał: „jakżebym miał wam wiary dochować, gdybym jej nie dochował własnej żonie?" Gdyby król wówczas był ustąpił, byłby się naraził papieżowi. W ten więc sposób sprawa Barbary Radziwiłłówny miała posłużyć protestantom polskim. Król jednakże oświadczył wręcz na sejmie, że woli koronę stracić, niż przysięgę małżeńską złamać; przełamał upór posłów i w r. 1550 koronowała się Barbara na polską królowę. Zmarła jednak zaraz w następnym

roku, przy czym niesłusznie podejrzywano królowę matkę Bonę o jej otrucie. Król zaś od śmierci Barbary nie zaznał już szczęścia w prywatnym życiu.

Hozjusz zajęty był w tych latach głównie ułożeniem książki, która by nauczała z całą ścisłością, gdzie się kończy prawowierność katolicka, a zaczyna odszczepieństwo. Protestanci bowiem twierdzili, że oni właśnie są najlepszymi katolikami, i że Kościół zapewne przyswoi sobie ich „reformację". Napisał więc Hozjusz książkę pt. „Wyznanie wiary", która kładła koniec wszelkim bałamuctwom. Napisana po łacinie, przydała się całej Europie i doczekała się kilkunastu wydań w Polsce i za granicą. Był to kamień węgielny odrodzenia katolicyzmu w Polsce.

We własnej diecezji zastawał stosunki jak najprzykrzejsze. Dość powiedzieć, że księży naprawdę katolickich, na których można by polegać, niemal tam nie było, a nowych kleryków wyświęciło się w ciągu pięciu lat zaledwie dwóch. Nowy biskup zabrał się do rzeczy gruntownie, bo zaraz zaczął zakładać szkoły. Samym kaznodziejstwem, choćby najdoskonalszym, nie można było zatamować protestantyzmu. Sam bł. Stanisław Oporowski, uznawany „Patronem Kaznodziejów", wycofał się z widocznej całemu narodowi Częstochowy do skromnego zacisznego klasztoru w swoim rodzinnym Oporowie, przyświecając tam świątobliwością swą aż do zgonu w r. 1552. Do jego grobu odbywano tłumnie pielgrzymki, układano na jego cześć pieśni, litanie (ostatnia z r. 1776), a rejestr wiadomych i spisanych cudów ciągnął się do roku 1809. Błogosławionym uznany został przez papieża Klemensa VIII w r. 1603.

Potrzeby Kościoła w Polsce zyskiwały nowego orędownika w niebie, a w szczególności dążności Hozjusza, którego bł. Oporowski miał we wdzięcznej pamięci od

roku 1540. Ale Hozjusz, to mocny bojownik Kościoła walczącego. Ufny w pomoc Bożą, zasługiwał na nią tym bardziej, skoro trzymał się prawidła: Pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże. Zakładał więc szkoły i miał w planach swoich jeszcze coś innego.

Równocześnie zaczął się Hozjusz domagać zwołania polskiego synodu, w czym poparła go najbardziej kapituła krakowska. Sławny ten w dziejach Kościoła polski synod prowincjonalny 1551 r. zaprowadził wielką karność wśród duchowieństwa i przykazał, że do rozeznawania wiary świętej od herezji obowiązuje wszystkich Hozjuszowe „Wyznanie wiary".

Jak Polsce synod, tak całemu Kościołowi potrzebny był nowy sobór powszechny, który by utwierdził na nowo naukę katolicką i postanowił, jakie należy zajmować stanowisko wobec „nowinek". Jakoż już od roku 1542 krzątano się w tej ważnej sprawie. W grudniu 1545 otworzył papież sobór w Trydencie, mieście południowego Tyrolu.

Odtąd przez lat 20 cała Europa zajęta była sprawami soborowymi, nawet protestanci, gdyż łudzili się, że obrócą sobór na swoją stronę. Przynajmniej dziesiątek lat przedtem spierano się o zwołanie go, jak i kiedy, gdzie, jakim sposobem — a gdy został wreszcie zwołany, napełniał sobą umysły wszystkich a wszystkich, budził oczekiwania i radosne i trwożne. Można o całym tym pokoleniu powiedzieć, że żyło soborem. Wobec soboru wszystko inne schodziło na drugi plan. Były to czasy soboru trydenckiego. A im bardziej sobór się opóźniał i przedłużał, przerywany i odkładany, tym bardziej się nim gorączkowano. Za pierwszym razem obradowano zaledwie przez dwa lata. Ponownie otwarto sobór (znowu w Trydencie) w r. 1551, lecz tym razem obradowano tylko rok. Protestanci chcieli, żeby ich dopuścić do uczestnictwa w so-

borze; przypuszczali, że będzie się radzić nad jakimś kompromisem pomiędzy sektami a Kościołem rzymskim. Znajdowali dużo poparcia pomiędzy monarchami, z czego wiele powstawało kłopotów. Podczas dziesięcioletniej pauzy w obradach, jaka tymczasem nastąpiła, zgodzili się wszyscy teolodzy katoliccy na to, że nie może być mowy o żadnych kompromisach, o żadnych „ustępstwach" dla innowierców, lecz katolicyzm musi być ściśle ujęty i praktykowany; a kto się do uchwał soboru nie zastosuje, ten jest poza Kościołem. Lepiej mniej wyznawców, a pewnych, prawdziwych.

Hozjusz od początku i stale był tego zdania.

Jak zawsze w ciężkich dla Kościoła czasach, podobnież tym razem Opatrzność zaopatrzyła Kościół w nową broń w postaci nowego zakonu. Był nim zakon Jezuitów, których niebawem miał Hozjusz sprowadzić do Polski.

Założycielem Jezuitów był Hiszpan Inigo (Ignacy) Lopez de Recalde, urodzony w r. 1491 na zamku Loyola i stąd nazywany krótko Ignacym Lojolą. Był paziem na dworze królewskim, potem jako rycerz brał udział w jednej z wojen hiszpańsko-francuskich i odniósł ciężką ranę w nogę. Wyzdrowiawszy, odprawił pielgrzymkę do Jerozolimy i próbował tam nawracać mahometan, lecz bez najmniejszego skutku. Przejrzał wtedy, że za mało posiada nauki, więc wróciwszy do Hiszpanii, zabrał się do... gramatyki łacińskiej. W krótkim stosunkowo czasie doszedł do studiów uniwersyteckich. Przeniósłszy się następnie na teologię do Paryża, tam spotkał się i zaprzyjaźnił z młodym rodakiem, młodszym o 15 lat od siebie Franciszkiem, zwanym Ksawerym od rodzinnego zamku Xavier. Razem postanowili założyć nowy zakon, który by oparł misjonarstwo na fundamencie naukowym. Obaj przenieśli się następnie do Rzymu i tam urządzili pierwszy dom

zakonny. Ostateczne zatwierdzenie reguły przez papieża nastąpiło w r. 1543. Zakon ten nie uprawia całkiem ascetyki, tj. specjalnych umartwień ciała. Pierwszym jego celem było zwalczanie protestantyzmu, bo to stanowiło wówczas pierwszą potrzebę Kościoła. Na ogół zaś miał każdorazowy papież stanowić o pracach zakonu, do czegokolwiek zechciałby ich użyć według tego, co w danej chwili Stolica Apostolska uważa za najpilniejszą potrzebę.

Przykład rozporządzania Jezuitą według opinii Ojca św. dany był od razu na św. Ksawerym. Widząc jego ochotę i zdatność do misji zewnętrznych, kazał mu papież w r. 1541 udać się do Indii. Przebywszy tam święty misjonarz sześć lat, udał się dalej na wschód, na półwysep Malakka, a następnie do Japonii — i wszędzie zbierał obfite plony swych trudów. Od dalszej podróży misyjnej do Chin wstrzymała go tylko sama śmierć. Ciało jego spoczywa w mieście Goa na półwyspie Malakka. Aż do początku wieku XVII „było zachowane w taki sposób, że nie można tego wytłumaczyć użyciem jakiegokolwiek środka sztucznego", a potem nastąpiło dziwne wysychanie tak powolne, iż dotychczas znać rysy twarzy. W r. 1932 wyraz twarzy był jeszcze „wielce ożywiony", a ciało sprawiało wrażenie „figury z ciemnej glinki". Z dawnych czasów odbywa się co dziesięć lat uroczyste otwarcie trumny.

Wielkiego misjonarza i swego towarzysza zakonnego przeżył św. Ignacy Lojola tylko o cztery lata. Zmarł w Rzymie w r. 1556; kanonizowany dopiero w r. 1662 przez papieża Grzegorza XV.

Zmarli obydwaj ci święci podczas owej powtórnej a długiej przerwy w obradach soboru trydenckiego. Kiedy dostojnicy Kościoła w całej Europie, a między nimi także

nasz Hozjusz, przygotowywali się wśród mozolnych prac do podjęcia soboru na nowo, zaczęły się już w Niemczech wojny religijne. Książęta niemieccy po większej części poprzechodzili na protestantyzm, gdy tymczasem pozostała przy katolicyzmie cesarska dynastia Habsburgów. Po wielce zmiennych losach wojny zawarto w r. 1555 w Augsburgu tzw. pokój religijny. Przyznano na tym wielkim sejmie Rzeszy Niemieckiej książętom zupełną swobodę wyznania i równouprawnienie dla wyznania luterskiego; ale dla żadnej innej sekty i tylko książętom, a wcale nie każdemu obywatelowi. Znaczyło to, że każdy zwierzchnik lenny ogłasza, jakie wyznanie ma być panującym w jego państwie, czy choćby w najmniejszym państewku i że ma prawo zakazać wyznawania tego, czego on sam nie wyznaje; ma prawo wierzących odmiennie prześladować, a nawet wygnać ze swego kraju. Ujęte to było w formułę „Czyje panowanie, tego religia". A „panującym" był każdy, kto nie miał nad sobą zwierzchnika innego lennego, jak tylko samego cesarza, czyli kto podlegał bezpośrednio cesarzowi. Jakżeż to dalekim było od polskiej zasady, że „wiara nie ma być z przymusu". Pokój ten augsburski obowiązywał jednak tylko do r. 1564, do czasu ukończenia soboru trydenckiego i ogłoszenia jego uchwał.

Zanim to nastąpiło, nawet kapłanom trudno było często odróżnić prawy katolicyzm od błędów heretyckich.

Ciekawego przykładu dostarcza epizod z życia krakowskiego Dominikanina O. Melchiora Mościckiego. Zakonnik ten, wzór bogobojności, był świadkiem całego niemal wieku XVI, żyjąc lat 80 (1511—1591). Pochodził z Mościsk w Małopolsce i stąd Mościckim zwany. Jakie miał poważanie, widać z tego, że był prowincjałem przez lat 20. W różnych stronach Polski „wiele tysięcy ludzi

różnych sekt kazaniami żarliwymi i pobożnym przykładem do wiary świętej przywiódł". Najdłużej przebywał we Lwowie, potem w Krakowie, zostawszy spowiednikiem Zygmunta Augusta. Król chciał go widzieć biskupem. Ofiarowano mu kolejno biskupstwo kamienieckie, przemyskie i arcybiskupstwo lwowskie, lecz zawsze odmówił. Dokończył życia w skromnej swej celi zakonnej, pochowany w sławnych krużgankach dominikańskich w Krakowie.

Otóż ten kapłan uczony i otoczony chwałą świętości nie poznał się na błędach włoskiego kaznodziei Ochino, jednego z nielicznych włoskich protestantów. Mieszkało wówczas w Krakowie tylu Włochów (od czasu królowej Bony), iż trzymano dla nich osobnego kaznodzieję przy kościele św. Szczepana (już dawno zburzony, została tylko nazwa „Placu Szczepańskiego") i takim kaznodzieją był przez niedługi czas ów Ochino. Nasz O. Melchior przyjaźnił się z nim wielce, niczego nie podejrzywając. Ale poznał się na farbowanych lisach uczony biskup krakowski Samuel Maciejowski i Ochinę zmusił do wyjazdu. Strapiony, a zdumiony jeszcze bardziej bogobojny Melchior, pisywał potem do niego żarliwe listy, próbując Włocha nawrócić, lecz bezskutecznie. Ochino objechał potem całą zachodnią Europę, zapędził się aż do Londynu, wreszcie zamieszkał w Genewie, stolicy kalwinizmu. Ale nauka jego nie była ściśle zgodna z nauką Kalwina, więc go kalwiniści genewscy prześladowali i musiał uchodzić. Śmierć zastała go w r. 1564 na Morawach. W Krakowie zaś powstała potem, późno już po śmierci O. Melchiora legenda, jakoby był owego Ochinę nawrócił listownie. Nam zaś chodzi tu tylko o przykład, jak łatwo było wówczas o omyłkę, skoro nawet za świętego uważany Melchior Mościcki pomylił się. Podobnych pomyłek pełno

było w Polsce i nie w Polsce, w całej Europie. Jakżeż więc potrzebnymi były prace soboru trydenckiego!

Wrzała w Polsce walka religijna, lecz walka na przekonania, na pióra, na obsadzanie parafii, a nigdy ani razu nie posunięto się wówczas do gwałtów i nikomu nie przyśniło się wywierać jakiegokolwiek przymusu. Pośród lutrów i kalwinów uwijali się Bernardyni. Odznaczał się w tych latach O. Fabian Orzeszkowski. Urodził się jeszcze za Jana Olbrachta w r. 1495 ze szlachty w ziemi łęczyckiej. Miał pełnych lat 30, kiedy wstępował do nowicjatu w Poznaniu; w r. 1554 został tam gwardianem. Zasłynął jako najwybitniejszy z bernardyńskich rymotwórców po Ładysławie z Gielniowa. Żył długo, bo lat pełnych 80 (przeżył króla Zygmunta Augusta o trzy lata) i danym mu było doczekać rozkwitu piśmiennictwa polskiego. Zaczął się ten rozkwit od Mikołaja Reja (krewniaka owego kanonika krakowskiego i następnie Bernardyna, o którym powyżej była mowa).

Zygmunt August wyczekiwał z upragnieniem, żeby sobór trydencki dokończył swych prac. Chciał pozostać wiernym synem Kościoła powszechnego. Gdy sejm zwrócił się do niego z żądaniem, żeby zwołał swoją królewską władzą sobór narodowy, zgodził się, dodając tylko jedno małe zastrzeżenie: „Jeśli papież na to pozwoli". Miał potem drugą wymówkę zwłoki w tym, że po cóż narodowy sobór, skoro będzie powszechny; lepiej wysłać delegatów do Trydentu. A gdy tam nie dopuszczono protestantów do głosu, król zachowywał się bardzo ostrożnie wobec różnowierców w Polsce i na Litwie i tylko narzekał przed nimi, że tyle jest sekt, że nie wiadomo, z kim się układać. Gdybyż wystąpili zgodnie, gdybyż ułożyli jakie wspólne wyznanie wiary! Dał im król ciężki orzech do zgryzienia! Łamali sobie głowy nad tym wspólnym wyznaniem prze-

szło dwadzieścia lat, a kłócili się między sobą coraz bardziej. I tak ich król przetrzymał, aż dzięki soborowi trydenckiemu wiedział już obóz katolicki, jak się organizować, a dzięki Hozjuszowi organizować się umiał. Protestanci przezwali króla szyderczo „dojutrkiem". Sądzili, że lubi odkładać, bo jakoby nie wiedział czego chce. A tymczasem król wiedział doskonale czego chce i czemu odkłada stanowcze słowo do protestantów. Czekał i on na wyniki soboru trydenckiego.

Niełatwo było rządzić w takich okolicznościach, zwłaszcza gdy wypadło równocześnie wojować z Moskwą. Przedłużanie rozejmów skończyło się, bo wybuchła wojna zacięta o Inflanty. Tamtejszy oddział Zakonu krzyżackiego trzymał się jeszcze. Niewielki ten kraj był bardzo ważny, bo położony nad północnym Bałtykiem, i gdyby go Moskwa opanowała, wzięłaby Litwę w kleszcze, we dwa ognie z dwóch stron. Król skłonił część inflanckich grodów, że przyjęły polskie załogi i te grody ocalały też przed najazdem cara Iwana Groźnego. Były zaś Inflanty całe zlutrzone, nie wyjmując reszty Krzyżaków. Ostatni ich landmistrz Ketler, miał zostać świeckim księciem Inflant, jako lennik Wielkiego księstwa litewskiego, ale nie zdołał złączyć całego kraju pod sobą. Utworzono więc dla niego w r. 1561 księstwo w Kurlandii, a reszta Inflant miała podlegać Polsce i Litwie; ale o tę resztę trzeba było dopiero walczyć i to już nie z Moskwą tylko, ale i ze Szwecją, bo król szwedzki wybrał się także na zabór części Inflant. W północnej części kraju, w Estonii w mieście Rewalu nastały takie stosunki, że na grodzie była polska załoga, a u stóp grodu, w samym mieście, rządził szwedzki komisarz. W tym tkwi zawiązek późniejszych wojen szwedzko-polskich. Na razie Szwecja przycichnęła, ale z Moskwą wojowano przez osiem lat.

Kiedy w r. 1563 Iwan zdobył Połock, kazał spalić tamtejszy klasztor bernardyński, a księży pozabijać. Śmiercią męczeńską zginęli gwardian Paweł i czterech zakonników, których imiona zakonne były: Dominik, Marcin, Wacław, Adam.

Wojnę przerywano jednak ustawicznymi rokowaniami, a prowadzono ją w ogóle z obydwóch stron leniwie. Kiedy w r. 1571 zawierano rozejm, pozostała każda strona przy tym, co posiadano już w roku 1562. Litwie otwarła się nowa droga handlowa przez rzekę Dźwinę ku Bałtykowi, a Moskwa miała Narwę. Stanowczą rozprawę o wyłączne panowanie nad Inflantami odkładano na potem; nie pokój też zawierano, tylko rozejm.

Właśnie po utworzeniu księstwa kurlandzkiego nad morzem Bałtyckim, zbliżała się do rozstrzygnięcia sprawa religijna. Stolica Apostolska zwoływała po raz trzeci i ostatni sobór trydencki. Bawił wtedy w Rzymie Hozjusz, mianowany kardynałem i przewodniczył kilku posiedzeniom soborowym. W r. 1562 sobór zamknięto. Z uchwał jego powstał jakby rozumowany kodeks wiary i obyczaju katolickiego na nowożytne czasy. Księga uchwał soboru trydenckiego stanowi odtąd zbiór przepisów, do których sięga się, ilekroć ktoś chciałby podnieść jaką wątpliwość. W zagadnienia teologiczne nie możemy się tu bliżej wdawać. Wspomnimy atoli trzy sprawy takie, które nas tu zajmowały już historycznie. Sobór trydencki zakazał ślubów małżeńskich między dziećmi i małżeństw tajnych. Pozwalał zaś księżom pobierać dochody kościelne tylko z tego kościoła, przy którym stale mieszkają (nazywa się to obowiązkiem rezydencji).

Zygmunt August przyjął tę księgę uchwał trydenckich w r. 1564 z rąk nuncjusza papieskiego i odtąd była i pozostała obowiązującą dla państwa polskiego.

Protestanci nie tracili jednak nadziei, a nadzieje ich rozbudzone były faktem, że załamywała się wierność dynastii Habsburskiej, dotychczas stale Kościołowi wiernej. W r. 1564 wstąpił na tron Maksymilian II i zaczął rządy od tego, że w krajach dziedzicznych habsburskich, w Austrii, nadał protestantom zupełną wolność. Wiadomo było powszechnie, że nie chodzi mu o zasadę równouprawnienia, lecz że nowy cesarz jest w duchu protestantem i ma zamiar publicznie i jawnie porzucić wiarę katolicką i dlatego zmienia zupełnie warunki wytworzone przez pokój religijny augsburski. Sprawa wisiała rzeczywiście na włosku.

Wtedy katolicy sprowadzili do Wiednia Hozjusza, a ten cesarza przekonał i nauką i wpływem swej osoby sprawił, że Maksymilian II nie tylko nie ogłosił się protestantem, lecz pozostawił Kościołowi katolickiemu stanowisko wyznania panującego w krajach austriackich. A zatem dzięki Hozjuszowi dynastia habsburska utrzymała się w wierności dla Kościoła i przyjęła także, co postanowił sobór trydencki.

Wahania się Maksymiliana II doświadczyli dwaj polscy młodzieniaszkowie, bawiący wówczas w Wiedniu na naukach.

Można było kształcić się doskonale i najzupełniej po katolicku choćby w szkołach Hozjusza i następnie w uniwersytecie krakowskim, ale kasztelan zakroczymski (na Mazowszu) Kostka odczuwał ogromną sympatię do Jezuitów (których w Polsce jeszcze nie było) i dwóch swych synów, Pawła i Stanisława, oddał na naukę do wiedeńskich Jezuitów. Stanisław liczył lat niecałych 13, Paweł mógł być od niego starszy o jakie dwa lata. Towarzyszył im dla dozoru nauczyciel domowy, Polak Biliński. A właśnie Maksymilian II odebrał Jezuitom ich dom,

tak, iż musieli mieszkać po kwaterach prywatnych na mieście, i podobnież ich uczniowie. Kasztelan Kostka kazał synom pomimo to zostać. Młodszy Stanisław został prezesem studenckiego bractwa św. Barbary (sodalicji jeszcze nie było). Odznaczał się pobożnością nadzwyczajną, a wkrótce postanowił sobie zostać Jezuitą. Starszy Paweł odwodził go od tego. Łączą się z tym opowiadania, jakoby Paweł bił Stanisława z tego powodu, obalał na ziemię, chwytał za gardło itp. Chłopaki jak chłopaki! Może się też czasem pobili, ale chyba nie o Jezuitów! Od czegóż był Biliński i listy do rodziców? A kasztelan zostawił ich w spokoju i minęły na wiedeńskich studiach cztery lata. Stanisław kończył lat 16, gdy oświadczył przełożonym chęć wstąpienia do Zakonu, ale ci kazali postarać się o pozwolenie ojcowskie. Widocznie rodzice odmówili, skoro Stanisław postanowił uciec.

Uciekł nie bardzo zasobny w grosz, a zatem podróż musiał mieć fatalną i jak na 16-letnie pacholę, nazbyt uciążliwą. Ani wątpić, że po większej części trzeba było iść piechotą. Toteż wypominał mu potem ojciec taką podróż, niegodną Kostków, że „jako żebraczek śmiałeś się po Niemczech i Włoszech włóczyć".

O Włoszech chłopiec z początku nie myślał. Jechał do Augsburga (daleko na zachód od Wiednia i wcale nie po drodze do Włoch), bo Augsburg był siedzibą prowincjała niemieckiej prowincji Towarzystwa Jezusowego. Ani ten nie mógł Stanisława jeszcze przyjąć, lecz wyprawił go tymczasem na wyższe nauki do Dollingen, miasta nad Dunajem w Bawarii. Było ono jakby drugą stolicą biskupów augsburskich (jak np. Kielce krakowskich) i ulubionym ich miastem. Tam w r. 1554 z fundacji tego biskupstwa powstał uniwersytet, który w r. 1564 oddano Jezuitom (istniał do r. 1804). Studiował tam

tedy młody Kostka przez rok, po czym w uznaniu wielkich zdolności wyprawiono go wraz z dwoma innymi młodzieńcami na dalsze studia do Rzymu. Do domu wracać nie chciał, a było to po tylu próbach aż nazbyt widoczne, że nie wróci; odsyłać go przymusowo nie było ani racji, ani sposobu, a z Polski też nikt po niego nie przyjeżdżał. Młodzieniec skończył już lat 17 i przez to samo sprawa z nim ułatwiła się. Cóż było w ogóle z nim począć? Uznano, że działa tu wybitne powołanie za szczególną łaską Bożą, zwłaszcza że Stanisław miewał widzenia.

W Rzymie, w nowicjacie (przy kościele św. Andrzeja), spotkał się z księdzem Stanisławem Warszewickim, czterdziestoletnim, który miał za sobą karierę w kancelarii Zygmunta Augusta i spodziewał się biskupstwa, lecz porzuciwszy wszystko, do Jezuitów się wpisał.

Z czasu nowicjatu dochowało się sporo opowiadań o św. Stanisławie Kostce, wzniosłych i rzewnych. Jedno z nich przytoczę:

Pewnego razu zapytali go OO. Jezuici: W co byś się zaopatrzył, gdyby ci kazano iść nagle do Indyj? Odpowiedział wesoło: W dobry kapelusz cierpliwości, w płaszcz miłości Boga i bliźnich i mocną parę trzewików umartwienia.

Zaledwie niecały rok przebywał święty młodzian w rzymskim nowicjacie, gdy uległ chorobie gorączkowej. Już przedtem chorował ciężko dwa razy; tym razem śmierci już się spodziewał. Zmarł dn. 15 sierpnia 1568 r., dożywszy ledwie 18 lat życia. Towarzyszyły mu zawsze rozmaite oznaki świętości, a podczas choroby i w dzień zgonu nastąpiły cudowne widzenia. Sława jego świętości rozchodziła się po całym świecie z przedziwną szybkością, po prostu żywiołowo. Można by to porównać z prze-

dziwnymi również dziejami czci św. „Tereni” za naszych czasów, także takiej młodziutkiej świętej. W kilkanaście lat po śmierci modlono się do św. Stanisława Kostki nie tylko we wszystkich katolickich krajach Europy, ale również w Indiach i w Ameryce! W rzymskim kościele św. Andrzeja od razu zjawiły się przy jego grobie wota; błogosławionym nazwał go już papież Klemens VIII, zanim jeszcze upłynął wiek XVI. A Paweł V (1605—1621) ogłosił go patronem narodu polskiego. Ostateczna kanonizacja nastąpiła w r. 1726.

W kilka miesięcy po zgonie św. Stanisława Kostki wstępował do tego samego nowicjatu trzeci Polak, ksiądz Piotr Skarga, liczący lat 32, jeden z najwybitniejszych w Polsce kapłanów, który ofiarowaną sobie infułą biskupią wzgardził, żeby przywdziać sutannę jezuicką. Pochodził z Grojca pod Warszawą, gdzie przyszedł na świat w r. 1536, w mieszczańskiej rodzinie młynarskiej. Licząc lat 16, dostał się szczęśliwie do Krakowa a zostawszy bakałarzem, otrzymał w r. 1555 stanowisko kierownika szkoły parafialnej przy kolegiacie św. Jana w Warszawie. Miał wtedy zaledwie 19 lat. Następnie był guwernerem w możnym domu Tęczyńskich i z uczniem swym, Janem Tęczyńskim, przebywał w Wiedniu w latach 1560—1562. Powróciwszy do kraju, przyjął święcenia kapłańskie we Lwowie w r. 1563. Został kaznodzieją katedralnym i kanonikiem, wkrótce kanclerzem kapituły. Upatrzony był na arcybiskupa lwowskiego, gdy wtem pod koniec 1568 roku wyjechał do Rzymu, i tam zaraz z początkiem roku 1569 wstąpił do nowicjatu jezuickiego.

W całym świecie katolickim nastał wielki zapał do jezuickiego zakonu. Tłumaczy się to tym, że przyjęli oni za pierwsze bezpośrednie swoje zadanie, żeby wprowadzić w życie i w czyn, co sobór wpisał w księgę swych uchwał.

W sam raz tego samego roku, kiedy Zygmunt August przyjmował księgę uchwał soboru, przybyli Jezuici do Polski. Sprowadził ich Hozjusz do swej diecezji (wówczas warmińskiej) w r. 1564; ale musiał minąć szereg lat, zanim się usadowili, urządzili, pozakładali nowicjat, szkoły itd. Pierwsi Jezuici u nas byli cudzoziemcami i nie mogło z początku być inaczej, a tymczasem polscy kandydaci do zakonu kształcili się w Rzymie.

Zbliżało się do końca panowanie Zygmunta Augusta, który nie odziedziczył wcale długowieczności po ojcu. Zanim zeszedł ze świata, sprzągł ponownie mocno Litwę z Polską. Poprzednie akty unii Polski z Litwą (a było ich kilka) były już przestarzałe, należało sprawę odnowić i do nowych czasów przystosować. Przede wszystkim południowa część Rusi litewskiej pragnęła, żeby ją wcielić bezpośrednio do polskiej Korony — czego też król w r. 1569 dokonał. Poza tym zawarto z Wielkim księstwem litewskim na sejmie lubelskim tegoż 1569 roku nową unię, zwaną lubelską, na następujących warunkach:

Litwa i Polska mają mieć po wieczne czasy wspólnie wybieranego monarchę, wspólny sejm walny, którego ustawy obowiązują obydwa państwa, wspólną monetę, wspólne wojny i pokoje — a jednak osobnych ministrów, osobny skarb, i osobne wojsko.

Tryumfem naszym było dobrowolne wcielenie się południowych ziem ruskich do polskiej Korony: Podlasia, Wołynia i Ukrainy. A unia lubelska jest jednym z najjaśniejszych promieni w dziejach polskich, bo stwierdzała na nowo, że nie najazdami, nie zaborami, ale wzajemną przyjaźnią rozszerzało się i potężniało państwo polskie, łącząc równych z równymi, wolnych z wolnymi.

Było to ulubione dzieło Zygmunta Augusta. A w testamencie swym tak o tym sam pisze:

„Tym naszym testamentem obiema państwu, Koronie Polskiej i Wielkiemu Księstwu Litewskiemu, dajemy i odkazujemy i zostawujemy miłość, zgodę, jedność, którą przodkowie nasi po łacinie unią zwali... a który z tych dwóch narodów naród tę unię od nas wdzięcznie przyjąwszy, mocno trzymać będzie, temu błogosławieństwo dajemy... a który zasię naród niewdzięczen będzie i dróg do rozdwojenia będzie szukał, niechaj się boi gniewu Bożego... Racz, Panie Boże, to w tym obojgu Państwie utwierdzić, coś w nim przez nas sprawił. Racz oboi ten lud w jedności spojony, w niezmyślonej miłości wiecznie zachować".

Na krótko przed zgonem tego króla błysnęła protestantom po raz trzeci nadzieja Kościoła narodowego, a to z powodu trzeciego małżeństwa Zygmunta Augusta z arcyksiężniczką habsburską Katarzyną. Król z nią nie żył, bo popadła w ciężką i wstrętną chorobę i małżeństwo było w rzeczy samej zerwane. W rodzie jagiellońskim był zaś Zygmunt August jedynym mężczyzną i nie miał zupełnie dzieci. Pragnął gorąco potomka i byłby dał wszystko za to, żeby mógł pozyskać prawny rozwód z żoną i wejść w ponowne śluby małżeńskie. Poddawano mu tedy myśl rozwodu, której król chwycił się jako ostatniej deski ratunku. Na próżno jednak kołatał o to w Rzymie. Małżeństwo prawnie zawarte, musiało być nierozerwalne, na to nie ma rady ani królowi, ani chudopachołkowi. Rzym nie udzielił rozwodu w podobnym wypadku królowi angielskiemu, nie mógł go też udzielić królowi polskiemu; podczas gdy jednak Henryk VIII kazał sobie dać rozwód własnym biskupom i popadłszy w schizmę, pociągnął za sobą całą Anglię w odszczepieństwo a następnie w herezję, król polski ponad wszystkie względy przekładał powinność względem wiary katolickiej. Doma-

gał się rozwodu z największą stanowczością, ale gdy go nie dostał, poddał się orzeczeniu Kościoła. Królowa Katarzyna opuściła wreszcie Polskę, powróciwszy do swoich, do Austrii, a gdy tam umarła w r. 1572, w królu poczęły się budzić nowe nadzieje: były one złudne, gdyż w kilka miesięcy po niej sam spoczął na marach.

Oto koniec nie tylko Zygmuntowskich czasów, ale i przesławnej dynastii Jagiellońskiej.

Przebiegliśmy, licząc od czasów świętych Cyryla i Metodego, siedemset lat dziejów polskich, historię dwudziestu jeden pokoleń ludzkich w Polsce, licząc po trzy pokolenia na stulecie. Z mroku pogańskiej pierwotnej doby wyprowadzeni na światło dziejów przez chrześcijaństwo, połączeni ściśle z Kościołem katolickim i zachodnią europejską cywilizacją, służyliśmy najwznioślejszym hasłom sprawiedliwości między narodami w doli i niedoli. Dzięki roztropności pierwszych wielkich Piastów zorganizowało się nasze państwo i wystawiło tamę przeciw prącej na zachód niemieckiej zachłanności. Osłabione mongolskimi najazdami, zmuszone do zasilenia się niemieckim osadnictwem, nie utraciło jednak swej narodowej odrębności. Duch narodowy przemógł wszystko i przetrawił, a kraj pozostał polskim. Z dwuwiekowego osłabienia dźwignięci niezłomnością Władysława Łokietka i rozumem Kazimierza Wielkiego, przeszliśmy w okres największej potęgi państwowej, dzięki unii z Litwą. Nie zaborami, nie krzywdą cudzą, ale przyjaznymi związkami rozszerzały się granice polskiego panowania. Nasz naród pierwszy doszedł do poczucia narodowego i pierwszy uznał i uszanował to także w innych narodach. Nasi Jagiellonowie są wyjątkową zaiste w dziejach dynastią, tak pełną zasług cywilizacyjnych, jak żadna inna, a zawsze zgodnie z duchem chrześcijańskim. Działając w imie-

niu i z woli polskiego społeczeństwa, dokazali tego dziejowego cudu wobec Europy, że łączyli narody pod hasłem braterstwa, a nie podbojem. Unia jest najwyższym objawem polskich dziejów, a najpiękniejszym przykładem dla innych narodów europejskich. Wdzięczna Jagiellonom potomność zowie też tę sprawę ideą Jagiellońską.

Piastom zawdzięczamy wiarę i narodowość. Jagiellonom cześć za to, że politykę narodową na chrześcijańskich oparli zasadach.

19. CZTERECH WIELKICH MĘŻÓW.

Tron w Polsce nie był dziedziczny, lecz elekcyjny, tj. króla się wybierało. Póki istniały dwie dynastie narodowe, Piastów i następnie Jagiellonów, nie przyszło nikomu do głowy, że można by wybrać króla z innego rodu. Elekcja bywała tylko formalnością Lecz oto Jagiellonowie wygaśli i trzeba było myśleć o elekcji naprawdę.

Wyborcami byli zrazu tylko wielmożowie, senatorowie duchowni i świeccy; potem gdy od Kazimierza Jagiellończyka nastały sejmy, rozszerzało się koło wyborców także na posłów sejmowych. Od śmierci Zygmunta Augusta elekcje odbywały się na polach wsi Woli, pod Warszawą (dzisiejsze przedmieście), na wniosek zaś wojewody bełzkiego, a późniejszego kanclerza i hetmana, Jana Zamojskiego, dopuszczono każdego szlachcica na pole elekcyjne. Gromadzono się tam województwami, i województwami głosowano. Obojętne więc było, ilu ich z jakiego województwa przyjedzie.

Ubiegali się o koronę polską Habsburgowie, lecz większość wybrała francuskiego królewicza, Henryka Walezjusza. Starszy jego brat zajmował tron francuski i — co za przygoda! — umarł w pięć miesięcy po wyjeździe Henryka do Polski, a umarł bezdzietnie. Spadło więc na Hen-

ryka dziedzictwo tronu francuskiego. Oczywiście wolał koronę własnej ojczyzny i do Francji powrócił.

Habsburgowie powtórnie zabiegali o tron polski. Przeciwnicy niemieckiego kandydata wzięli się wtedy na sposób. Jedna z sióstr Zygmunta Augusta pozostała niezamężną. Korzystając z wielkiego przywiązania narodu do krwi Jagiellońskiej, przeprowadzili wybór Anny Jagiellonki na tron. Któż by się przeciwił?! A potem, trzeba jej było dobrać męża. Kazano więc poślubić Annę 55-letnią, młodszemu od niej o trzynaście lat przeciwnikowi Habsburgów, księciu siedmiogrodzkiemu Stefanowi Batoremu.

Był to mąż niepospolity. Dzięki temu szczęśliwemu wyborowi, nastaje w dziejach naszego narodu okres, który można by nazywać okresem czterech wielkich mężów. Wnet się z nimi poznamy.

Kiedy przybył do Siedmiogrodu goniec z wiadomością o pomyślnej elekcji, Stefan zawołał: „Teraz dowie się świat wielkich rzeczy!" Od młodości bowiem marzył o wielkich czynach, a głównie o tym, żeby Turków wypędzić z Europy. W Polsce przejął się hasłem „od morza do morza". Z bałtyckim wybrzeżem miał do czynienia na samym początku rządu, bo miasto Gdańsk upierało się przy Habsburgu. Ruszył tam zaraz po koronacji z odpowiednim wojskiem i bunt stłumił. Powstało wtedy przysłowie: „Porwał się jak burmistrz gdański na króla".

Batorego głównym doradcą był Jan Zamojski, którego zowie się w historii Wielkim, chociaż królem nie był. Ci dwaj wielcy mężowie tak ściśle współpracowali, iż niesposób oznaczyć, co któremu z nich przypisać. O morzu Czarnym, o Carogrodzie marzyli obydwaj. Jakżeż tam jednak dotrzeć, skoro z tyłu zagraża Moskwa? A zatem trzeba wpierw pokonać Moskwę, a pokonawszy zmusić cara, by wojska swoje oddał na wyprawę przeciw Turcji.

Wiemy, jak za Zygmunta Augusta zawierało się nieustannie rozejmy. Tym razem car Iwan Groźny (najokrutniejszy z tyranów, stąd taki hańbiący noszący przydomek) rozejm zerwał. W r. 1577 wyprawił się znów na Inflanty. Podjęły więc wojnę Polska i Litwa. Odnosiliśmy nie tylko wielkie zwycięstwa w polu, ale też zdobyliśmy kilkanaście grodów. Pierwszą taką zdobyczą było odzyskanie w r. 1579 Połocka, utraconego przed 16 laty, kiedy to zginęło tam śmiercią męczeńską pięciu Bernardynów. W dalszym pochodzie w kraj nieprzyjacielski zdobyto w r. 1580 trzy znaczne warownie: Wieliż, Uświatę i Wielkie Łuki. W roku następnym przystąpił król do oblężenia grodu największego i najbardziej obronnego: Pskowa.

W tych dwóch ostatnich latach, w r. 1580 i 1581 dojeżdżał do głównej królewskiej kwatery wojennej jezuita Piotr Skarga, o którego powołaniu zakonnym była mowa w poprzednim rozdziale. Jest to trzeci obok Batorego i Zamojskiego wielki mąż tego okresu. A gdy dojdzie do skutku jego beatyfikacja (o co starania już rozpoczęto), będziemy w nim mieli obok Hozjusza drugiego świętego polskiego politycznego z tego okresu (a polityczni patronowie święci przydadzą nam się w tych czasach bardzo).

Świątobliwy nad wszelki wyraz, uczony na wielką miarę, roztropny, przewidujący, stanowczy, wytrwały, a zawsze wiedzący dokładnie, czego chce; a przy tym pracowity niesłychanie. Powiedziano o nim, jako „próżnować nigdy nie chciał i nie umiał”. Dziw bierze, że jeden człowiek potrafił tyle studiować, pisać, układać, tworzyć!

Publiczne życie rozpoczął na obu elekcjach, wysyłany przez swój zakon, a był przyjacielem kandydatury habsburskiej. Jakżeż miał potem zmienić zdanie! Nie było nad niego większego poplecznika króla Stefana!

Kiedy przybył do głównej kwatery wojennej Batorego, był już znanym autorem. Sławę teologa i pisarza zrobiła mu rozprawa. „O jedności Kościoła Bożego", w której miał na myśli przede wszystkim nawracanie schyzmatyków i unię kościelną — co też miało się stać głównym zadaniem jego życia. Wkrótce potem wyszły „Żywoty Świętych Starego i Nowego Zakonu na każdy dzień przez cały rok". Tę księgę olbrzymią przedrukowuje się od r. 1579 aż do naszych czasów nieustannie; liczy do trzydziestu wydań, czytana przez każde pokolenie, a przez wszystkie stany. A przyjrzawszy się bliżej obozowi i żołnierzom na wyprawach króla Stefana, pisze „Nabożeństwo żołnierskie", podręcznik dla katolickiego żołnierza, pełen głębi religijnej i niezrównanego poziomu moralności zawodowej; poucza, co trzeba, żeby być tęgim żołnierzem, nie przestając być dobrym chrześcijaninem, żeby być rycerzem a nie zbirem. Pisze np. „Doma i w ciągnieniu (w pochodzie) winniście być jako owce, a w polu i w potrzebie (w bitwie) lwami nieustraszonymi. Bo gdy doma będziecie lwami okrutnymi, w potrzebie staniecie się, jako na rzeź owcami".

Już podczas wypraw Batorego wiedziała cała Polska, że Skarga kroczy na czele katolickiej inteligencji. A skoro zaś w tym właśnie czasie, w r. 1579 zmarł w Rzymie kardynał Hozjusz, Skarga stał się niewątliwym przodownikiem Kościoła w Polsce i jakby chorążym ruchu katolicko-narodowego. Toteż kiedy w r. 1580 założono drugi uniwersytet w Wilnie, a Skargę powołano na pierwszego rektora, wszyscy uważali ten wybór za jak najtrafniejszy.

Znamiennym prawdziwie jest w tym wypadku zbieg dat historycznych, że tego samego roku powstała „akademia ostrogska", wyższa szkoła schyzmatycko-protestancka, a więc zwrócona przeciw nowemu uniwersytetowi.

Albowiem protestantyzm wkroczył także pomiędzy Ruś; duchowieństwo prawosławne na Wołyniu, Podolu i na Ukrainie pełne było kalwinizmu, a nawet arianizmu. Była to sekta rozszerzona w Polsce i na Rusi, odrzucająca dogmat Trójcy św., a skrajne jej skrzydło odmawiało nawet bóstwa Chrystusowi Panu. Na czele ruchu „nowinek” na Rusi stał możnowładca kniaź Konstanty Ostrogski, pan 35 miast i tysiąca wsi. Ten w mieście swoim Ostrogu założył drukarnię i szkołę wyższą, nazwaną akademią nie bez słuszności. Zbierał do niej profesorów z całego świata.

Jakże różniła się tym ruchem umysłowym Ruś spod polskiego panowania od Rusi moskiewskiej! Próbowano i w Moskwie sztuki drukarskiej, ale popi tamtejsi bali się, że będą musieli uczyć się czytać, postarali się o „zaburzenia ludowe”, i drukarnię zburzono, jako dzieło szatańskie. Bo też w Moskiewszczyźnie duchowieństwo świeckie nie umiało z reguły ni czytać ni pisać, a synod w r. 1551 stwierdził, że na to nie ma rady, bo gdyby analfabetom nie udzielać święceń, zabrakłoby popów.

Akademia ostrogska stała się jednak rozsadnikiem protestanckiego kierunku w cerkwi. Układały się przeto stosunki wyznaniowe na Rusi polskiej (ukrainnej) i litewskiej (Białorusi) do walki z prawosławiem podobnież, jak w Polsce i na Litwie do walki z protestantyzmem. Skarga zaś miał zdziałać wiele i na tym i na tamtym polu.

Tymczasem trwało oblężenie Pskowa. Opór Moskwy był tam nadzwyczajny, armia zaś polska zdobywała się na wysiłki do ostatecznych granic. Nastała zima niesłychanie ostra. Mamy polski opis całego tego oblężenia w zapiskach, czynionych z dnia na dzień przez uczestnika wyprawy Piotrowskiego (jest to jedna z najpiękniejszych polskich książek do czytania). Batory i Zamojski wprawili cały świat w zdumienie, bo na zimę oblężenia

nie przarwali. Pierwszy to był taki wypadek w dziejach wojen nowożytnych i rozchodziły się po całej Europie opisy tej kampanii, wielce dziwnej współczesnym. Polska decydowała się na nowe wysiłki wojenne i pieniężne na wiosnę 1582 r. Iwanowi Srogiemu było coraz trudniej.

Wtedy car, największy wróg katolicyzmu, trafił jednak do Rzymu. Posyłał do papieża z przedstawieniami, że on chce się ni stąd ni zowąd nawrócić na unię florencką, ale ta wojna mu przeszkadza. Wyprawiono z Rzymu pod Psków pospiesznie Jezuitę włoskiego Possewina z argumentami, że wojna musi być przerwana dla dobra Kościoła. Nasi wiedzieli dobrze, że Iwan udaje, że to ze strony Watykanu złudne marzenia; najgłośniej zaś wytykał, że w Rzymie nie mają pojęcia o Moskwie, że dobro Kościoła wymagałoby raczej, żeby Moskwę opanować, Piotr Skarga, ten sam, który tak gorąco pragnął unii kościelnej; ostrzegał jednak, że nie tędy do niej droga, jak radzi Possewin. Ten zaś powoływał się na wolę papieską, a że był przysłany przez generała Jezuitów, musiał tedy polski Jezuita przycichnąć.

Przystał wreszcie król Stefan na zawieszenie broni na lat dziesięć. Iwan Groźny zrzekał się wszelkich uroszczeń do Inflant, a Połock i Wieliż zostały wcielone do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Odtąd Polska góruje nad Moskwą i aż do r. 1667 Moskwa była stroną słabszą, pokonaną.

Król Stefan przypuszczał, że w ciągu 10-letniego rozejmu uda się skłonić Moskwę do wspólnej wyprawy na Turka i w ten sposób rozstrzygną się losy Wschodu. Starał się zawczasu o posiłki od Habsburgów z Węgier, o flotę z Włoch i o zasiłki pieniężne najbogatszego w Europie dworu hiszpańskiego. Rozsyłał też król wysłańców swych daleko do ziem wschodnich, aż do Persji.

Gdy Habsburgowie nie kwapili się do sojuszu z nim, powziął myśl, żeby im odebrać królestwo węgierskie, a połączyć je pod jednym berłem z Polską i czynił przygotowania do pozyskania sobie stronników na Węgrzech.

W rok po zawarciu zawieszenia broni z Iwanem Groźnym okazał król Stefan publicznie w sposób jak najdobitniejszy, jak ceni Zamojskiego, swego doradcę i wodza, kanclerza i hetmana: oddawał mu za żonę bratanicę swoją, Gryzeldę Batorównę, księżniczkę siedmiogrodzką (córkę swego brata Krzysztofa). Można sobie wyobrazić, jak wspaniałym było wesele, urządzone w Krakowie na Wawelu! Ale największą wspaniałością było, że spotkali się na nim wszyscy czterej wielcy mężowie tego okresu. Król wesele urządzał, współpracownik jego Zamojski był panem młodym, O. Piotr Skarga był obecny pośród duchowieństwa, a czwarty z nich urządzał na dziedzińcu zamkowym... przedstawienie teatralne.

Jakżeż można teatr stawiać obok spraw najpoważniejszych? A któż to taki ten czwarty?

Był to wielki poeta, a wielka poezja nie ustępuje niczemu. Nazywał się Jan Kochanowski. Aż do Mickiewicza był to największy poeta polski.

Za Zygmuntowskich czasów wyrobiła się literatura narodowa w polskim już języku. Jeszcze pod koniec panowania Zygmunta Starego wystąpił słynny Mikołaj Rej z Nagłowic, który (jak sam powiada) postanowił światu pokazać, że „Polacy nie gęsi i swój język mają“ (a nie tylko łacinę). Pisał dużo, odznaczył się najbardziej w prozie, zwłaszcza przez swój „Żywot człowieka poczciwego“. Kwitnął, to znaczy: wyrobił najbardziej swój talent za Zygmunta Augusta. Przybywało mu wielu towarzyszów. Najwybitniejszym był Jan Kochanowski, na którego Rej sam wskazał, jako na wyższego od siebie.

Kochanowski pochodził ze średniej szlachty, podobnież jak przyjaciel jego młodości, Zamojski. Obydwaj bawili na studiach w Padwie i w Paryżu — zdawało się z początku, że razem będą robić karierę polityczną. Za Zygmunta Augusta wszedł Kochanowski do kancelarii królewskiej w stopniu sekretarza. Ale poezja i kancelaria! Rzucił wszystko, osiadł w dziedzicznej wsi, w Czarnolesiu i w zaciszu przysłuchiwał się, co słychać na wielkim świecie. Nie zamknął się od spraw publicznych, lecz towarzyszył im tylko swym świetnym piórem. W jego wierszach jest sporo tematów politycznych, co zresztą miało już zawsze stanowić cechę polskiej poezji. Ale umiał sięgnąć do głębin ducha ludzkiego. Należał zawsze do obozu katolickiego i był bardzo religijny. Wsławił się najpierw wierszem „Czego chcesz od nas, Panie, za twe wielkie dary". Używa się dotychczas jego tłumaczenia psalmów. A któż z nas nie zna i nie śpiewa jego pieśni „Kto się w opiekę?"

Sławny był już za Zygmunta Augusta, lecz u szczytu talentu i sławy stanął, „kwitnął" dopiero za czasów Stefana Batorego. Przyjaźń z Zamojskim trwała ciągle i kanclerz ofiarował się wystarać mu się u króla o godność kasztelańską. Odpowiedział pięknym wierszem, w którym wysławia swoje spokojne wiejskie życie, opiewa piękno lip rozłożystych przed swym dworkiem, jak siedzi sobie z książką pod taką lipą i „nie dbam o kasztelana, pilnując swego dzbana".

Równocześnie Skarga wykształcał coraz bardziej prozę polską, coraz piękniejszym pisując językiem. Tak spotkali się na weselu Zamojskiego obaj najwięksi nasi pisarze owych czasów, prozaik i poeta. A przedstawienie teatralne, to coś wówczas rzadkiego, wyjątkowego. Przyjacielowi młodości ułożył na wesele dramat na tle historii

starożytnej „Odprawa posłów greckich". Były tam rozmaite aluzje polityczne do wielkich planów króla i kanclerza.

Podobnież, jak Skarga, był też Kochanowski z początku stronnikiem habsburskim, a zamienił się w najgorliwszego zwolennika królewskiego, bo go król Stefan ujął swym postępowaniem, bo w jego polityce upatrywali obydwaj dobro ojczyzny.

Jak zaś starannie usuwał Batory wszelkie przeszkody, widać na jego stosunkach ze Szwecją. Z powodu Inflant nastąpiła rozległa gra pomiędzy kilku państwami i w tę grę weszła także Szwecja. Przypomnijmy sobie, jak jeszcze za Zygmunta Augusta wkroczyły szwedzkie załogi na północ Inflant, do Estonii (dziś państwo niepodległe). Podczas wojen Batorego wojowała z Moskwą również Szwecja, chociaż oddzielnie i rozszerzyła tam znacznie swoje zdobycze. W r. 1583 musiał Iwan Groźny zawierać rozejm także z królem szwedzkim, Janem III Wazą, uznając się pokonanym, podobnież jak wobec Polski.

Czy w przyszłości połączy się armia szwedzka z polską przeciwko Moskwie, czy też nastąpi w Inflantach współzawodnictwo pomiędzy Polską a Szwecją? Oto było wielkie pytanie i wielka troska polityki polskiej.

Wojny ze Szwecją nie tylko nikt nie chciał, ale była przecież tradycja wielkiego programu prymasa Łaskiego, żeby dążyć do unii ze Szwecją. Dawniej Zygmunt Stary odmówił przyjęcia szwedzkiej korony, a teraz nasuwała się możliwość w odwrotny sposób, żeby sobie ze Szwecji obrać króla na tron polski.

Mostem do zgody ze Szwecją miało być przyznanie następstwa tronu polskiego królewiczowi szwedzkiemu Zygmuntowi. Nie był on nam obcym. Rodzona siostra Zygmunta Augusta i Anny Jagiellonki, Katarzyna, wyszła za mąż za księcia finlandzkiego, Jana. (Finlandia należała

wówczas do Szwecji). Wiódł on spory ze swym bratem, królem Szwecji i był przez brata więziony. W więzieniu powiła Katarzyna syna Zygmunta. Później Jan zasiadł na szwedzkim tronie i Zygmunt został królewiczem. Ogromnie go lubiła „ciotuchna", królowa Anna, żona Batorego; bezdzietna, pokochała siostrzeńca, którego pieszczotliwie nazywała „Zyziem". W tym przywiązaniu rodzinnym tkwił pierwszy szczebel „Zyzia" do tronu polskiego. A chociaż Szwecja była krajem protestanckim i król Jan Waza luteraninem, Katarzyna Jagiellonka wychowała syna po katolicku, nie było więc przeszkód religijnych. Król Stefan Batory pochwalał te projekty, przyjął je też Zamojski.

Wielki Batorego wielbiciel, który wysławiał go swą poezją, Jan Kochanowski, rozstał się z tym światem już w r. 1584. Niestety, ani Batory nie zestarzał się i odszedł w dwa lata potem, po panowaniu zaledwie dziesięcioletnim, a tak sławnym. Z czwórki wielkich mężów zostało tylko dwóch: Zamojski i Skarga.

Nadspodziewanie rychło tedy miał projekt szwedzki przejść w rzeczywistość. Popierali Zygmunta i Zamojski i ks. Skarga. A gdy Habsburgowie po raz trzeci próbowali w Polsce szczęścia i gdy arcyksiąże austriacki, Maksymilian, wybrał się z niedalekiego Śląska oblęgać Kraków, Skarga działał w mieście wśród ludności, zanim hetman odpędził arcyksięcia. Ścigał go aż na Śląsk i tam pod Byczyną zadał mu klęskę i wziął do niewoli. Skarga wygłosił wspaniałe kazanie na to zwycięstwo sprawy Zygmuntowej. Porażkę Habsburga uważał za wymiar sprawiedliwości, bo nie bierze się królestwa wojennym najazdem. W następnym roku został królewskim kaznodzieją.

Nowy król, Zygmunt III Waza, zraził sobie jednak wkrótce i Zamojskiego i Skargę. Rządził nie po polsku.

Uważał państwo za swoją własność, z którą wolno mu robić, co mu się podoba. Już w r. 1589 ustępował w tajnej umowie koronę polską Habsburgom, których co dopiero trzeba było przepłaszać spod Krakowa! Sam zaś wybierał się z powrotem do Szwecji, gdzie zamierzał wytępić luteranizm z pomocą przyrzeczonego sobie wojska Habsburgów. Skarga, chociaż mianowany kaznodzieją królewskim, nie wahał się wtedy z ambony upomnieć króla do powrotu. Chciał się zrzec kaznodziejstwa zamkowego, ale generał Jezuitów kazał pozostać mu na dworze królewskim. Miało się to jeszcze powtórzyć kilka razy. Król zaś zmawiał się dalej z Habsburgami, aż sam Zamojski musiał wystąpić przeciw Zygmuntowi ostro na sejmie 1592 r. Ale nie przeszkadzano królowi, gdy w r. 1594 pojechał do Szwecji na koronację. Ileż dobra spodziewano się z tego, że wreszcie znalazły się na jednej głowie te dwie korony: szwedzka i polska!

Tymczasem kanclerz snuł dalej wielkie plany Batorego. Ażeby zabezpieczyć na przyszłość wojskom polskim przemarsz przez Wołoszczyznę, wyprawiał się tam wielki Zamojski trzy razy i zabezpieczył hospodarstwa lennikom Polski. Ponieważ zaś zachodziła obawa, czy w razie wojny z Turkami nie będzie się mieć prawosławia przeciwko sobie, popierano tym usilniej wszelkie misje wschodnie. Skarga był w tym w swoim żywiole. Od młodszych lat zajmował się nieustannie tą kwestią „jedności Kościoła Bożego", apostołował zaś wśród schyzmatyków na Białorusi z wielkim powodzeniem. Urządzono też misję wołoską i przypuszczano, że gdy prądy katolickie uderzą na Ruś równocześnie z dwóch stron, od północy i z południa, zagadnienie jedności Kościoła będzie rozwiązane przynajmniej w państwie polsko-litewskim. Mniemano, że w takim razie unia kościelna musiałaby oddziałać poprzez

Wołoszczyznę także na półwysep bałkański, gdzie spodziewano się pomocy od „wujów” franciszkańskich.

Król Zygmunt III popierał te dążenia z całych sił, tym bardziej, że protestanci zaczynali się zmawiać przeciw niemu ze schyzmatykami. Przypuszczał, że unia cerkiewna stanie się klinem rozsadzającym ów związek. Przyspieszał więc akcję unijną, przynaglał i pospiesznie, a bez należytego przygotowania, ułożono unię w r. 1595, a roku następnego ogłoszono ją uroczyście na synodzie cerkiewnym w Brześciu Litewskim (stąd zwana brzeską). Pospieszono się, nie pozyskawszy jeszcze wszystkich dostojników prawosławia. W Ostrogu, pod opieką kniazia Ostrogskiego, odbył się od razu antysynod przeciwko unii. Było to zarzewie przyszłych wojen domowych.

Omylił się Zygmunt III, uważając teraz stanowisko swe w Polsce za ubezpieczone i samo państwo polsko-litewskie za tak wzmocnione jednością religijną, iż śmiało może się teraz zabrać do przywracania katolicyzmu w Szwecji. Wybrał się tam powtórnie w r. 1598 z wojskiem zaciężnym i z misjonarzami jezuickimi. Połączenie jednego z drugim wydało fatalne skutki. Protestanci odmówili posłuszeństwa; skorzystał z tego stryj króla, Karol, książę Sudermanii (prowincja szwedzka), stanął na czele sprawy protestanckiej, zebrał także wojsko, odniósł zwycięstwo i Zygmunta z tronu strącił. Głowa zaś misji jezuickiej, świątobliwy kapłan Jan Laterna, doczekał się śmierci męczeńskiej. Rozwinął nader ożywioną działalność misyjną, ale pochwycony przez żołnierzy Karola, utopiony został w morzu, w grudniu 1598 roku.

Uczestniczyły w walce z protestantyzmem i schyzmą wszystkie zakony. Można by przytoczyć kilkadziesiąt nazwisk gorliwych misjonarzy i kaznodziejów. Poprzestajemy dla przykładu na czterech, którzy zasłynęli naj-

większą świątobliwością: Dwaj Melchiorowie i dwaj Bernardzi. Żył jeszcze do roku 1591 św. Melchior z Mościsk, o którym była mowa poprzednio, porywający wymową mieszczaństwo krakowskie u Dominikanów, gdzie też jest pochowany. Inny Dominikanin, imieniem także Melchior, a pochodzący z Warki, mieściny w Wielkopolsce, a wysłany następnie do Wilna, był dzielnym pomocnikiem Piotra Skargi w nawracaniu schyzmatyków Rusi litewskiej. Tak był świątobliwy, iż powiedziano o nim, jako był „wszystek prawie w medytacjach utopiony". Zmarł w Wilnie w r. 1602.

Co ciekawe, że w tym czasie, kiedy największej wśród obozu katolickiego popularności nabierał nowy zakon Jezuitów, równocześnie odradzają się w tym samym czasie zakony najstarsze. Kameduli, którzy już dawno zaniknęli, przybywają na nowo do Polski w r. 1605, a Benedyktyni zyskują dwóch zakonników zmarłych w opinii świętości. Obydwom było na imię Bernard i w tym samym żyli klasztorze, pochodzili jednak z dwóch przeciwległych krańców Polski. Jeden z nich pochodził nawet spoza granic państwa polskiego, z pozostającego pod czeską koroną Śląska (a królami czeskimi byli już Habsburgowie), z miasta Frydku. Czując powołanie zakonne, a chcąc się koniecznie dostać do polskiego klasztoru, zaszedł aż do Poznania, a potem skierował się do Benedyktynów w Lubiniu wielkopolskim i tam zmarł w r. 1603, gdzie „cudami słynie" (jak zapisano w r. 1737).

Do tego samego klasztoru wstąpił w r. 1598 Bernard z Wąbrzeźna, miasta na Pomorzu. Był to „wielki sługa Boży", który zdołał w krótkim czasie wspiąć się na tak wysoki szczebel doskonałości chrześcijańskiej, iż budził najgłębszy podziw u wszystkich. Ten zakonnik był nawet przedtem u Jezuitów w Poznaniu, a opuścił ich dla Be-

nedyktynów zapewne dlatego, że był miłośnikiem życia jak najbardziej na uboczu. Miał w sobie ducha raczej średniowiecznych świętych. „Cicho i mało znany przeszedł przed oczyma tego świata“. A rozkoszą jego było, że umiał „ukrzyżować ciało swoje wraz z jego pożądliwościami“. W ascetyzmie żył do r. 1603, czczony zaraz po zgonie jako święty; głoszono zaś o nim jeszcze za życia, „jako cuda czyni“. Gdy w r. 1834 rząd pruski zamknął ten klasztor, zajęli się zbieraniem aktów do beatyfikacji ostatni przeor O. Zimowicz i Jezuita z Torunia Szembek. Rząd pruski zrabował jednak w r. 1836 dwa tysiące talarów, zebranych na przeprowadzenie procesu beatyfikacyjnego. Atoli od niedawna zaczęto nawiedzać znowu grób Bernarda z Wąbrzeźna w Lubiniu. Stary klasztor zburzyli Prusacy, ale są tam już na nowo polscy Benedyktyni i zbierają na nowo akty i środki do ponownych starań o beatyfikację.

Odradzały się stare reguły zakonne w owych czasach, za życia Skargi, a natomiast rzecz dziwna, że nie było w Polsce ówczesnej wcale nowego zakonu Kapucynów, który powstał w r. 1525 w włoskim mieście Urbino.

Jak widzimy, chociaż inne zakony pomagały w sprawowaniu misyj, jedni tylko Jezuici uczestniczyli w owych latach w życiu publicznym, w sprawach państwowych. Widzieliśmy, jak nie powiodła się im misja szwedzka. Wkrótce runęły wszystkie marzenia związane ze złączeniem dwóch koron na głowie Zygmunta III. Gdy nie chciał zrzec się tronu szwedzkiego, Karol sudermański sam wkrótce królem się ogłosił. A skoro Zygmunt nadal nie zrzekał się korony szwedzkiej, której był przecież prawym po ojcu dziedzicem, Karol wszczął z nim wojnę i w r. 1600 przekroczył granicę polską w Inflanciech, wkraczając tam lądem od strony Finlandii.

Tak marzenia o unii ze Szwecją przemieniały się nam na wojny szwedzkie, które miały nas nękać przez lat 60 aż do r. 1660.

Tym razem Zamojski odzyskał w r. 1602 niemal całe Inflanty, z wyjątkiem Dorpatu. W następnym roku wojował jeszcze dalej, i wtedy wystąpił znów publicznie Skarga z listem do Zamojskiego serdecznym, w którym sławi go między innymi w te słowa: „Który goręcej Ojczyznę miłujesz, i głębiej i ostrzej w jej potrzeby i niedostatki patrzysz". Był to już jednak schyłek życia Jana Zamojskiego.

Dowództwo w Inflanciech objął po nim wódz niemniej znakomity, Jan Karol Chodkiewicz, który gromił dalej Szwedów. Słynie w historii bitwa pod Kircholmem nad Dźwiną, stoczona dnia 27 września 1605 r. Mając wojska wszystkiego razem 3700 ludzi, zadał Chodkiewicz Szwedom taką klęskę, że samych poległych liczyli 8000, nie licząc ubitych w pogoni i tych, którzy potonęli w Dźwinie. Sześćdziesiąt chorągwi nieprzyjacielskich wpadło w polskie ręce, działa, i cały obóz szwedzki. Polska armia słynęła wówczas z dzielności i sprawnego urządzenia na całą Europę, a zwłaszcza sławna husaria skrzydlata, która łamała nieraz w kilka chwil szyki nieprzyjacielskie.

Nie wyzyskano należycie tego zwycięstwa, poprzestając na rozejmie.

Zamojski od razu mówił, że lepiej raz dać królowi duże wojsko, żeby sobie tron szwedzki odzyskał, niż być narażonym ciągle na niebezpieczeństwo w Inflanciech; ale nie posłuchano tej rady i robiono wszystko jakoś połowicznie.

Raz jeszcze przed zgonem miał wielki Zamojski służyć państwu mądrą radą, lecz także go nie usłuchano.

Zaszły dziwne wydarzenia, takie, iż zdawać się mogło, że nawet z Moskwą samą unia cerkiewna wkrótce będzie dokonana i że armia moskiewska będzie do dyspozycji Polski przeciwko Turcji. Po śmierci Iwana Groźnego nastąpił niedołężny syn jego Fiedor. Rządził za niego wielmoża Borys Godunow, który sam myślał o tronie dla siebie. Fiedor żył krótko, ale miał młodszego brata, Dymitra; tego więc pozbył się Godunow, zgładziwszy go, dziewięcioletnie zaledwie dziecię. Nieprzyjaciele Godunowa nie dali jednak za wygraną. W r. 1603 zjawił się na Ukrainie, w granicach tedy państwa polskiego, młodzieniec, podający się za Dymitra. Twierdził, jako wówczas podstawiono zbirom Godunowa inne dziecko, on zaś jest Dymitrem, który ocalał dzięki poświęceniu starego sługi. Protegowany przez bogatą rodzinę Mniszchów z Rusi Czerwonej, zgłasza się ów rzekomy Dymitr do króla Zygmunta III i obiecuje zaprowadzić w państwie moskiewskim katolicyzm, jeżeli król dopomoże mu do odzyskania tronu. Sam zaś Dymitr Samozwaniec przeszedł uroczyście na katolicyzm w krakowskim jezuickim kościele św. Barbary w r. 1605, odbywszy przedtem katechizację u Jezuity ks. Sawickiego. Kto atoli patrzał głębiej i dalej, nie mógł wierzyć w tę unię moskiewską. Ani w polityczną, ani w cerkiewną!

Jakżeż można było marzyć o unii w Moskwie, skoro w Polsce i na Litwie nie bardzo się przyjęła! Przystąpiły do niej tylko część Rusi Białej i Podlasie, ale sprzeciwiła się cała Ruś południowa. Zwalczali się zaś unici i dysunici z największą nienawiścią i namiętnością. Należało oczywiście wpierw załatwić tę sprawę we własnym państwie.

Kiedy Zamojski dowiedział się o Samozwańcu, nazwał całą tę sprawę prostą komedią i stanowczo odradzał puszczać się na takie kręte drogi. Nie posłuchano go, on zaś

tego samego jeszcze roku 1605 odszedł z tego świata. Pozostał po nim trzeci w Polsce uniwersytet, „akademia zamojska“, założony przez niego kosztem własnym w mieście Zamościu. Po śmierci Jana niewiele się o tę akademię troszczono, toteż od razu podupadła, lecz istniała aż do końca niepodległości królestwa polskiego.

Z czterech wielkich mężów został sam Skarga, dla króla coraz oziębłejszy. Kiedy w tymże samym roku Zygmunt III łączył się na nowo z Habsburgami wbrew woli narodu, małżonkę sobie z Wiednia sprowadzając, Skarga wystąpił śmiało przeciw temu austriackiemu małżeństwu, lecz bezskutecznie. Ale kiedy znowu chciał dwór królewski opuścić, generał zakonu znów nie pozwalał.

Gdy Skarga nie mógł robić czegoś, co by chciał, lub też gdy nie mógł robić tak, jakby chciał, nie zakładał rąk, lecz robił to, co mógł, to co się robić dało. A główną jego pracą była zawsze misja wschodnia. Był też na tym polu największym mistrzem, ogarniał zaś swym wpływem, wzrastającym coraz bardziej, przede wszystkim warstwy wyższe. Ponieważ przepojone były duchem protestanckim, trudno nawet orzec, czy Skarga nawracał bardziej ze schyzmatyckiego prawosławia, czy też ze szczególnego ruskiego protestantyzmu. Mieszało się to jedno z drugim i wikłało, utrudniając nawracanie, które musiało być niejako podwójnym. Ale radził sobie Skarga doskonale pismem i żywym słowem, o ile miał jeszcze czas na podróże misyjne. Nawróceni zaś szlachcice ruscy, porzucając „nowinki“ kalwińskie i ariańskie, nie do prawosławia się nawracali. Tak już od schizmy odbiegli, iż nawet uciekali od obrządku wschodniego. Mogli byli stać się katolikami jako unici, lecz oni tego nie chcieli, i przy nawróceniu przyjmowali niemal zawsze obrządek łaciński. Dalszym następstwem było dobrowolne tej szlachty spolszczenie się.

Wydawca, miejsce odbicia, miejsce wydania: Drukarnia Tow. Św. Michała Arch. w Miejscu Piastowym, pow. Krosno.